MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 36 WARSZAWA, 5 WRZEŚNIA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

O POLITYKĘ WYZNANIOWĄ

NIEDAWNO „Warszawski Dziennik Narodowy" wydrukował na swych łamach korespondencję p. Włodzimierza Dworzaczka, p. t. „Wzrost prawosławia w Lubelskim", gdzie m. in. czytamy słowa następujące:

„W r. 1921, pierwszy spis powszechny polski wykazał w woj. lubelskim 152.598 wyznawców Cerkwi na 2.087.951 ludności ogółem. Odsetek więc prawosławnych wynosił 7,6% w całym województwie, a powiatach nadbużańskich i południowo-wschodnich, 18 — 20%.

Spis z r. 1931 dał nam 210.373 prawosławnych czyli, 8,5% przy 2.466.936 ogółu mieszkańców, co wynosi na terenie nadbużańskim około 24%. Przyrost prawosławia, wynoszący ponad 57 tysięcy na przeszło 152 tysiące, wyraża się więc w ciągu pierwszego dziesięciolecia naszej niepodległości w normie około 38%. W tym samym czasie ludność katolicka wzrosła z 1.619.755 na 1.895.764, czyli o 276.009, czyli tylko o 17,2%!"

P. Dworzaczek ciekawe swe i zastanawiające dane poprzedza wspomnieniem z przed paru dziesiątków lat, kiedy to, mimo wysiłków władz rosyjskich i prześladowań, nie można było pognębić katolicyzmu, przeciwnie z chwilą jakiego takiego kursu tolerancyjnego odradzać się on począł w imponującej i krzepiącej serca formie. Dzisiaj zaś...

Spróbujmy spojrzeć na fakty wyżej przytoczone, udowodnione cyframi statystycznymi. Dlaczego jest tak a nie inaczej? Czyżby wzrastała atrakcyjność prawosławia, a jeśli wzrasta, czym doprawdy tłumaczyć to przedziwne zjawisko?

Odpowiedź jest jedna: brakiem jakiejkolwiek polityki wyznaniowej, który to brak stanowi następstwo braku jakiejkolwiek polityki w stosunku do mniejszości narodowych, przejaw zaniku z kolei jakiejkolwiek linii politycznej, jasno sformułowanej koncepcji, programu. Tragiczny, zaiste, łańcuch! Mimo nadmiernego a nawet w wielu wypadkach ciążącego, przeszkadzającego centralizmu, podzieleni przecież jesteśmy na szereg państewek z nowego gatunku paniętami — wojewodami na czele, prowadzącymi kurs własnych politycznych zamysłów. Przykład województwa poleskiego z wojewodą Kostkiem-Biernackim na czele i jego znaną powszechnie postawą i przykład województwa sąsiedniego, wołyńskiego, z wojewodą Józefskim na czele i jego równie znaną postawą sprzeczną z taktycznymi założeniami kolegi jego z brzeskiego urzędu, stanowią przykłady aż nadto często cytowane, niemniej i niestety wciąż i wciąż aktualne...

Polityka wyznaniowa istnieć musi a jej drogi wypływać powinny z poczucia tej prawdy, która jest czymś najświętszym dla znakomitej większości obywateli — narodu. Religia nie może iść w służbę wytyczania działań doczesnych, straciłaby bowiem swój sens, ale może z poczynaniami polityki współpracować.

Weźmy obraz, który widuje się na Wołyniu: oto do prawosławnej ludności wołyńskiej, prowadzonej przez kler nieszkodliwej już dzisiaj mniejszości rosyjskiej, lojalnej, nienawidzącej Sowietów i ukrainizmu, sprowadza się księży obrządku grecko - katolickiego z sąsiedniej Ziemi Czerwieńskiej, narażonej na ataki i ofensywę (na wielu, niestety, odcinkach udaną) separatystycznego ruchu „ukraińskiego". Przez ów szczególnego rodzaju import łamie się przegrodę dzielącą Wołyń od Wschodniej Małopolski, przybliża się ludność wołyńską do zasięgu działania „Unda" lub i „U. O. N." Nie jesteśmy oczywiście przeciwni szerzeniu kultu katolickiego, tylko dlaczego nie w ła-

cińskim, polskim obrządku? Chwytanie dusz na podobieństwo formy zewnętrznej kultu nie wydaje nam się sposobem najgodniejszym religii dla nas jedynej — tak mocno wierzymy w treść katolicyzmu, w jego atrakcyjność bez względu na formę, w jaką się nasze nabożeństwa przyobleka!

Niewytłumaczalny niczym wzrost prawosławia w województwie lubelskim, polskim etnograficznie i katolickim, wskazuje na zjawisko kurczenia się stanu naszego posiadania tam, gdzie nie był on nigdy kwestionowany. Prawosławie tutaj w przeciwieństwie do Wołynia wskazuje na postęp agitacji ukraińskiej irredenty. Może to wszystko jest napozór i bardzo dziwne, ale polityka wyznaniowa na terenie Rzeczypospolitej należy do zjawisk skomplikowanych, niełatwych, powiedzmy jeszcze mocniej — trudnych.

Niełatwość prowadzenia tej polityki nie może być podawana za okoliczność łagodzącą i usprawiedliwiającą brak kompletny tej polityki jako pewnego, przyjętego systemu. I nie rozwiążemy tej sprawy dopóki sprawy wyznaniowe kierowane będą przez zespół, który nie tylko nie ma zrozumienia dla spraw związanych z religią, ale dla którego zjawisko religii jest wogóle wstrętne. Jeszcze to jeden powód, który, każe dokonać rewizji koniecznej w gmachu przy Alei Szucha.

Gdybyśmy podsumowali błędy, a raczej poprostu braki naszej polityki wyznaniowej, postępy ofenzywy ukraińskiej na polu gospodarczym (spółdzielczość!), sprawę parcelacji wielkiej własności rolnej, rolę gęsto obsiadłej ludności żydowskiej na Ziemiach Wschodnich, to problem Kresów ukaże się w naszych oczach odmalowany barwami, które dopominać się będą o zwrócenie uwagi godne prawdziwej i w czynach konsekwentnej polityki. Zdawałoby się, iż jest to tak mało, tak bardzo mało, a jednak...

JAN BAJKOWSKI

NACJONALISTYCZNE KONKLUZJE O NAPOLEONIE

BEZWĄTPIENIA ze względów taktycznych, orientacyjnych, a także doktrynalnych i wychowawczo-politycznych, trzeba ustalać w sposób jasny stosunek wielkich prądów polityczno-społecznych do wydarzeń i postaci historycznych, które miały i mają jeszcze wpływ na bieg dziejów. Dziś, w epoce głoszenia *„führertum'u"* i *„führerprincip"*, w epoce przełamywania przez nacjonalizm sił zrodzonych przez rewolucję francuską, trzeba mieć zdecydowany pogląd na pierwszego „wodza", który ukazał się wśród chaosu wywołanego zerwaniem ciągłości cywilizacyjnej; mamy na myśli Napoleona.

Napoleon ma legendę, która zjednywa dla niego ludzi o bardzo różnych przekonaniach; tymczasem postać jego i jego rola jest zupełnie wyraźna. Kiedy przed wojną, Trocki był na emigracji, pewien dziennikarz, który go wtedy poznał, zdziwił się, zobaczywszy w jego pokoju podobiznę Napoleona I; Trocki wyjaśnił mu, że Napoleon położył wielkie zasługi, gdyż nie powstrzywał rewolucji, tylko ją przedłużył i zachował jej zdobycze. Trocki miał słuszność; fałszywa jest zupełnie legenda o Napoleonie, jako pogromcy rewolucjonistów i człowieku, który chciał zamknąć erę rewolucyjną, rozpoczętą w r. 1789. W r. 1795 wydawało się, że przed Francją stoi tylko perspektywa odrodzenia monarchii Burbonów; już wtedy mogło nastąpić to, do czego doszło ostatecznie w r. 1815, przyczem obyłoby się bez 20-sto letniego upustu krwi, z powodu niepotrzebnych dla Francji wojen i bez szeregu innych wiele szkodliwszych, bo trwalszych skutków opóźnienia Restauracji. Tymczasem Napoleon, dziesiątkując armatami powstańców rojalistycznych na stopniach S-go Rocha, oddalił możliwości wejścia wykolejonej Francji na tory tradycyjne. Nie pochwycił jeszcze wtedy władzy, bo dopiero w ów dzień 13-go Vendemiere'a rozpoczął swoją gigantyczną karierę. W cztery lata potem, sytuacja wróciła we Francji do tego stanu, jak w czasie powstania z 13-go Vendemière'a; wtedy pojawił się Bonaparte po raz drugi i na 15 lat odroczył rozstrzygnięcie, które wreszcie przyszło już nie jako skutek przewrotu paryskiego, lecz klęski po wojnie z całą Europą. Decydujący udział Napoleona w dniu 13-go Vendemière'a w obronie Dyrektoriatu i potem 18-go Brumaire'a przy obaleniu Dyrektoriatu był wynikiem zbiegu okoliczności niezależnych od jego woli; gdyby w przeddzień 13-go Vendemière'a Bonaparte nie uzyskał audiencji u Barrasa; gdyby Joubert nie zginął pod Novi (1799r.), to losy Francji i Europy byłyby się ułożyły inaczej. Te skonstatowania nie umniejszają wcale roli osobistej Napoleona w okresie Vendemière'a i Brumaire'a, ale właśnie w tych zwrotnych momentach nie doszłoby do decydującego udziału Napoleona w rozstrzygnięciach, gdyby nie okoliczności, na które sam nie miał wpływu; dodajmy jeszcze, że zamach 18-go Brumaire'a zakończyłby się uwięzieniem i zgilotynowaniem Bonapartego, gdyby nie przytomność umysłu jego brata Lucjana, jedynego z braci Napoleona, który zrobił i to wcale niemałą karierę, dzięki własnym wysiłkom i zdolnościom. Cesarski bratanek, Ludwik Napoleon, doszedł do władzy w podobnych okolicznościach jak stryj. Już w drugiej połowie 1848 r. było rzeczą jasną, że lutowa rewolucja paryska była niepotrzebna, że kraj sobie nie życzył tego przewrotu i zarysowywała się możliwość restauracji monarchicznej na rzecz Orleanów, albo Henryka V Chamborda; Ludwik Napoleon odroczył te możliwości na ćwierć wieku. Obaj cesarze przedłużyli to, co powinno być krótkim epizodem, dokonywali tego przy pomocy, niezwiązanych ze spo-

łeczeństwem, grup oligarchicznych, oraz przy pomocy wojska. Jako treść swoich régimé'ów musieli wziąć ideologię wielkorewolucyjną; nie mogli związać stworzonego przez siebie ustroju z całością dziejów Francji; zmuszeni do przekreślenia tak, jak W. rewolucja, całego tysiąclecia, chcieli znaleźć oparcie dla siebie, powołując się na Karola Wielkiego. Dzisiaj tak samo Hitler nawiązuje do pragermańskich czasów i Mustafa Kemal do zamierzchłych i wygasłych tradycyj turkmeńskich; jestto przyznawanie, że się żyje w epoce chaosu, jestto potwierdzanie systemu rządów, odpowiadającego hordom.

Napoleon I stworzył państwo, będące wyrazem i prądów wielkorewolucyjnych; i tych przemijających okoliczności wśród których działał. Państwo napoleońskie, to nie jest bynajmniej synteza tradycjonalizmu i zasad „postępowych". Napoleon przyjął przedewszystkiem ten postulat wielkorewolucyjny, że zrównane jednostki są postawione bezpośrednio naprzeciwko państwa; organizacji pośrednich w postaci rodziny, gminy i organizacyj samorządu terytorialnego oraz zawodowego w państwie napoleońskiem niema; jestto główny rys państwa, zbudowanego na podstawie ideologii wielkorewolucyjnej i zasadniczo przez to spokrewnionego z tworami bolszewizmu, który dokańcza dzieła W. rewolucji francuskiej. Napoleon z całą świadomością rozproszkował społeczeństwo i zniwelował je. Administrację, prawodawstwo i finanse uporządkowali powołani przez Napoleona prawnicy i urzędnicy *ancien régime'u*, z których kilku pochodziło jeszcze ze szkoły ministrów Ludwika XV; jednak duch i architektura *régime'u* napoleońskiego są wielkorewolucyjne. *Régime* królewski nigdy nie chciał we Francji zniesienia instytucji pośredniczących między jednostką i państwem; zupełnie fałszywa terminologia, określająca monarchię francuską od czasów Ludwika XV (a nawet Franciszka I), jako „absolutną", lub „administracyjną", wyraża myśl nie odpowiadającą rzeczywistości — pogląd, jakoby W. rewolucja i Napoleon dokończyli dzieła Kapetyngów. Wcale nie; królowie francuscy nie chcieli się rozstać z prawnie zróżniczkowanemi grupami społeczeństwa, zorganizowanemi na podstawie zawodowej, terytorjalnej i historycznej; za Ludwika XV monarchia upadła wraz z całym kompleksem instytucyj bez których nie mogła się utrzymać również w wieku XIX przy pomocy napoleońskiego systemu biurokratycznego i fałszywego pośrednika między narodem i państwem w postaci parlamentu, wyrażającego opinie karierowiczów politycznych i interesy oligarchij gospodarczo-finansowych; ostatni ze starszej linii Bourbonów, Henryk V (hr. de Chambord), chciał odbudować całokształt, przystosowanego do zmienionych okoliczności, systemu tradycjonalistycznego (korporacjonizm, regionalizm), ale został okrzyknięty wstecznikiem, gdy tymczasem nasz wiek XX może go uważać za prekursora. Kodeks cywilny (*Côde Napoléon*), to jedno z głównych narzędzi rozbicia własności prywatnej i rodziny, dzięki artykułom zabraniającym różniczkowania pozostawianego majątku według wieku i płci dziedziców oraz jakości dóbr (art. 732, 745 i 1050); Karol X chciał poprawić niwelatorski kodeks przez przywrócenie *droit d'ainé*, co naraziło jego rządy na niezasłużoną niepopularność. Dzięki kodeksowi napoleońskiemu, Francja się wyludnia, gdyż rodzice nie chcą dzielić swoich majątków pomiędzy wiele dzieci, powstają fortuny nietrwałe, spekulacyjne, prywatne majątki zmniejszają się i nie można utrzymać rodzin na zdobytym, przez przedsiębiorczego przodka, poziomie.

Od czasów Napoleońskich i dzięki nim Francja została wydana na łup dwóch potęg z którymi królowie walczyli przez całe wieki, a mianowicie na łup tajnych sekt i spekulantów; niebezpieczeństwo jest tym groźniejsze, że królowie zwalczali sekty i finansjerę rodzimą, zaś W. rewolucja i Napoleon otworzyli podwoje sektom i spekulantom internacjonalnym i kosmopolitycznym: masonerii i finansjerze żydowskiej.

Prof. Fay w swojej niezwykle ciekawej książce *„La francmaçonnerie et la révolution intellectuelle du XVIII-e siécle"* ustalił jaki był charakter masonerii XVIII-go wieku. Ta masoneria składała się z frondystów arystokratycznych i wielkiej burżuazji, połączonych w lożach i kierowanych przez intelektualistów—„filozofów". Przygotowawszy i rozpocząwszy rewolucję, masonerja arystokratyczno-burżuazyjna rozpętała namiętności, które zwróciły się nie przeciw masonerji jako takiej, lecz przeciw jej przedstawicielom, jako członkom warstw wyższych. Od r. 1792 masoneria usunięta została od sterowania wypadkami i zaczęto dziesiątkować jej reprezentantów. Robespierre chciał „zorganizować" rewolucję w ramach nowego porządku spirytualistycznego ustanawiając kult „Istoty najwyższej"; logiczniejsi od niego byli hébertyści i potem zwolennicy Baboeuf'a, którzy chcieli dokończyć rewolucję polityczną przez społeczną i dać Francji statut rewolucyjno-materjalistyczny zmierzający do komunizmu (zob. Gaxotte *„La révolution française"*, vol. II). Thermidorjanie obalili Robespierre'a, zaś Dyrektorat zdołał powstrzymać komunistów; Napoleon postanowił użyć w celu ustalenia nowej władzy wszystkich materjalnych, moralnych i umysłowych elementów, które nie mogły z przyczyn zasadniczych mu się przeciwstawiać. Z jednej strony Napoleon postarał się o współdziałanie katolicyzmu i zawarł Konkordat oszukańczo uzupełniony artykułami dodatkowymi, z drugiej zaś sprzymierzył się z rozproszoną masonerią, zorganizował ją i zapełnił jej górne szeregi swymi krewnymi i dostojnikami z armii i biurokracji. Gra prowadzona zbyt bezwzględnie nie poszła gładko. Konflikt z władzami katolickimi przybrał formy b. gwałtowne (uwięzienie Papieża); z masonerią do tak jaskrawych starć nie doszło, ale koło r. 1809 zaczęła się ona od Napoleona odsuwać. Korzystała masoneria dzięki wojnom napoleońskim bardzo dużo, gdyż do każdego miasta okupowanego przez armie francuskie dostawali się wojskowi przedstawiciele lóż i zakładali masońskie jaczejki (zob. Valery — Radot — *La dictature de la franc-maçonnerie)*, jednak masoneria doszła do przekonania, że Napoleon zabardzo się zbliża do monarchii tradycjonalistycznych, a przedewszystkiem, że jego ciągłe wojny, w których każde nowe zwycięstwo przybliżało ostateczną nieuchronną klęskę, nie powinny związać losów masonerji z jego losami. Dzięki wojnom napoleońskim masoneria rozgałęziała się po Europie, a jednocześnie te wojny sprowadziły do stolicy kosmopolitycznego cesarstwa urodzonych przedstawicieli kosmopolityzmu i internacjonalizmu — żydów. Za I-go

cesarstwa osiadły w Paryżu rodziny żydowskich bankierów z Niemiec, których potomkowie dotąd tworzą t. zw. *la Haute banque,* kierownictwo paryskich banków spekulacyjnych. I żydow, jako żydów, chciał Napoleon zorganizować i przyciągnąć do współpracy; żydzi jednak zachowali się jak masoneria, nie wierząc w trwałość rządów napoleońskich.

Napoleon, który głosił: „Uświęciłem rewolucję; wprowadziłem ją do ustaw" przydał się ogromnie wszystkim propagatorom kosmopolityzmu i internacjonalizmu, ale nie chcieli oni zginąć razem z nim i dlatego w 1814 r., poddając się konieczności, sfery kierownicze organizacji antytradycjonalistycznych przybiegły na pomoc zwycięscom i udało im się wprowadzić do wskrzeszonego królestwa Bourbonów elementy, z którymi to królestwo nie mogło współżyć.

Czy można mówić o państwie napoleońskim, jako o odrębnym, określonym typie ustrojowym? Ustrój najwyższych władz zmieniał się za rządów samego Napoleona. Rozpoczął Napoleon swoje rządy stwierdzając, że nie chce być dekoracyjnym *„cochon â l'engrais"* zakończył zaś je przez *„Act additionel"*, który miał być podstawą cesarstwa „liberalnego"; w rzeczywistości podstawą ustrojową władz centralnych za Napoleona I i III, była konstytucja z r. VIII-go. W praktyce napoleoński cezaryzm, (nie monarchia lecz monokracja — samowładztwo) oparty na fabrykowanych przez siebie plebiscytach, przechodził przez różne fazy zależne od koniunktury; w w latach 1809— 1812 Napoleon upodabniał swoje państwo do świeżo wyrosłych, nieprawdziwie tradycyjnych mechanizmów biurokratyczno-militarnych, Prus i Rosji, a w r. 1813 i w 1815 nawrócił do haseł jakobińskich i oświadczał, że Francja powinna włożyć *„les bottes de 93"*. Zakładając swoje cesarstwo, Napoleon tak samo apelował o poparcie wyszłych z rewolucji *couches nouvelles*, jak w okresie ostatnich zmagań; zamordowanie ks'd'Enghien było aktem politycznym, za decydowanym przez Napoleona w celu przejednania republikanów, podobnie jak w r. 1813 *„les bottes de 93" i Act additionel* były przynętą dla dawnych republikanów, symbolizowanych przez Carnota i dla liberałów przedstawianych przez Benjamin Constant'a. Administracyjny, kodeksowy, konkordatowy i gospodarczo-społeczny ustrój, z czasów I-go cesarstwa, przetrwał wśród różnych *règimè'ów* sto lat; za wyjątkiem systemu konkordatowego, zerwanego w r. 19 inne systemy uregulowane przez Napoleona I trwają dotąd. Czy to przemawia na korzyść urządzeń napoleońskich? Bynajmniej, Wynika z tego trwania tylko to, że owe urządzenia mają charakter bezduszny, mechaniczny, mogąc służyć różnej treści, a raczej różnym władzom. Najbardziej odpowiadający swojemi wewnętrznemi skłonnościami tradycjonalizmowi francuskiemu, tak zwanemu dzisiaj *pays réel,* okres Restauracji nie mógł się pogodzić z urządzeniami napoleońskimi, ale następne *régime'y*, godzące się ze „zdobyczami Rewolucji", podobne do siebie, jako różne odmiany wynaturzenia Francji zupełnie dobrze korzystały z maszynerii napoleońskiej. W dziedzinie społecznej i gospodarczej, system napoleoński zaczął od drugiej połowy wieku XIX-go zmieniać się przez klasowe, egoistyczne organizowanie się pracowników i pracodawców w syndykatach i w kartelach, które obecnie mają także duży wpływy polityczny; z drugiej strony parlamentaryzm pozwala na większe niż za I i II cesarstwa wpływy oligarcii masońsko-politycznej i finansowej (zob. Frédérix — *Etat des forces en France i Lucius — Décheance des bourgeosie de France).* Jednak wszystkie, prócz Burbońskiego *régime'y*, które odziedziczyły napoleońskie urządzenia prawne i administracyjne, starały się te urządzenia zachować. Zasadnicza zmiana w kierunku korporacyjnym i decentralistycznym byłaby klęską ideologij wielkorewolucyjnych i urządzeń napoleońskich i wymagałaby zdecydowanego powrotu do stosowania zasad *ancien régime'u* z koniecznym arbitrażem króla (te postulaty wykładają pisarze z *Action Francaise* i inni niezależni np. Viance, Lucius i Valdour; do tych pisarzy można dziś zaliczyć b, premiera Tardieu — autora głośnej książki *„Souverain captif"*).

Zagraniczna polityka Napoleona jest również jak jego „system konstytucyjny" fałszywie oświetlona w pracach najbardziej popularnych publicystów i historyków. Wojny rewolucyjne i napoleońskie nie kontynuowały bynajmniej i nie dokańczały polityki dynastii Kapetyntów. Żyrondyści wywoływali wojnę z Europą, żeby obalić monarchię; jakobini kontynuowali walkę, aby pognębić żyrondystów, pchnąć żywioły patriotyczne na granice i ocalić się od kary, którą im groziła reakcja narodowa; Napoleon odziedziczył wojny, jako kontynuator rewolucji i nie był zdolny do utrwalenia stanu pokojowego, czego wystarczającym dowodem jest zerwaniem traktatów zawartych z Anglią w Amiens i wyprawa na Rosję w 1812 r.

Wielkiem oszustwem, głoszonem przez jednych świadomie, a przez drugich z naiwności, jest legenda o narodowej konieczności i narodowym charakterze wojen rewolucyjno - napoleońskich. Prawdą jest tylko, że francuskie żywioły narodowe i patriotyczne uczestniczyły w tych wojnach dla Francji niepotrzebnych i tylko umożliwiających rządy założycieli ustroju opartego na ideologii abstrakcyjnej i zaspakajającego apetyty różnych wściekłych ryzykantów; jeżeli te wojny rewolucyjno-napoleońskie miały narodowy charakter, to ideja narodowa była właśnie nie po stronie Francji, służącej kosmopolityzmowiinternacjonałowi, lecz po stronie krajów kontrrewolucyjnych: Prusy Hiszpania, Rosja, a nawet Austria (powstanie tyrolskie) walczyły o wolność narodową. Odrodzenie części Państwa Polskiego wynikło nie z pobudek ideowych, lecz czysto koniukturalnych, politycznych i niewolno zapominać, że właśnie W. rewolucja francuska przez swoje wojenne powodzenia stała się ostateczną przyczyną drugiego i trzeciego rozbioru Polski; zjednoczenie Niemiec w postaci konfederacji reńskiej i przez mediatyzację dziesiątków państewek niemieckich, było rzeczywiscie poważnym etapem na drodze narodowego zjednoczenia Niemiec, urzeczywistnionem jednak, podobnie jak Księstwo Warszawskie, nie ze względu na ideję narodową, i w rezultacie było krokiem dla Francji bardzo nie korzystnym, czego nie zrozumiał jeszcze ani Napoleon III, ani nawet Clemenceau; Włoch Napoleon nie zjednoczył, poddał tylko ich część francuskiemu, obcemu organizmowi państwowemu, część zaś pozostawił jako oddzielne państwo (zwrócić także trzeba uwagę na to, że trzeciem państwem włoskim w epoce

Napoleona była broniona, przez Anglików Sycylja.)

Napoleon budował Kosmopolis i na wyspie Ś-tej Heleny sam uzasadniał swoje wojny chęcią stworzenia takiego kosmopolisu, jakby europejskich „Stanów Zjednoczonych". Z tych względów dzisiejsi pacyfiści europejscy, wielbiciela Brianda i Ligi Narodów, są często gorącymi adoratorami Napoleona, który dyktując na wygnaniu refleksje o swojej działalności, przedstawiał siebie, jako bojowca i proroka wiecznego pokoju, w czasie którego żadne zagadnienia ideowe nie będą odgrywały roli, a rozstrzygać będą tylko interesy gospodarcze.

(Dok. n.) LESZEK GEMBARZEWSKI

DYSKUSJA ORTOGRAFICZNA

(Dokończenie)

W JAKIEJŚ francuskiej komedii pewna miła staruszka oświadcza, że największym królem Francji był... Ludwik Filip! — dlaczego? — „bo ja miałam wtedy 16 lat!". Zapewne z tych samych podświadomych powodów ja najwyżej cenię pisownię Zjazdu Rejowskiego, w którego sekcji ortograficznej miałem zaszczyt brać udział. A działo się to w roku 1906... Lecz gdzież są niegdysiejsze śniegi! jak powiada Villon. Dla mnie zatem pisownia z r. 1918 była również i „gwałtem" i „kaskadą tyraństwa" itp., jak dzisiejsza dla prof. Cywińskiego. Na to już rady nie ma i jestem przekonany, że gdyby obalić dzisiejsze przepisy, a kazać ułożyć nowe komitetowi złożonemu z pani Julii Dickstein - Wieleżyńskiej i jej towarzyszy, dodawszy im do pomocy p. p. Cywińskiego i Pawlikowskiego, to już na pierwszym posiedzeniu trzeba będzie sprowadzić Pogotowie Ratunkowe a może i policję. Każdy bowiem uważa swoje nałogi ortograficzne za dogmaty i gotów walczyć o nie do ostatniej kropli atramentu, a tylko językoznawcy zdolni są wznieść się ponad kurz krwi bratniej i lać kojącą oliwę sceptycyzmu na rany w zaciekłości zadawane.

Brak miejsca nie pozwala mi tu rozpatrzyć krytycznie bodaj najważniejszych zmian wprowadzonych ostatnio do pisowni, zajmę się więc jednym tylko punktem: owym nierozróżnianiem końcówek *-ym*, *-em* i *-ymi*, *-emi*. Dla wielu „dobrych ludzi ale złych muzykantów" jest to kamień obrazy, splugawienie świętości narodowej, targnięcie się na najdroższy skarb etc. etc. Nie znam argumentów z „Lamusa" 1909 r. i siedząc na wsi nie mogę uzupełnić tej luki we własnym lamusie wiedzy lingwistycznej, na ogół jednak argumenty za odróżnianiem tych końcówek są następujące:

1) Dobrym ojcem, *bo* dobry ojciec; dobrem dzieckiem, *bo* dobre dziecko.

Przytaczam to naiwne rozumowanie, ponieważ jest ono bardzo rozpowszechnione wśród laików, którym się zdaje, że pomiędzy „dobry" a „dobrym", i pomiędzy „dobre" a „dobrem" zachodzi logiczny stosunek racji do następstwa. Oczywiście każdy, choć trochę obeznany z gramatyką, wie, że końcówki przypadków nie zależą od końcówki mianownika. Zorza polarna, proszę panów, nie składa się z salamoniaku, chociaż tak twierdzi stanowczo p. Ignacy Kochanowicz w dziele p. t. „Tryumf XX wieku" Wyd. II. Płock 1907.

2) Rozróżnianie końcówek *-ym*, *-em*; *-ymi*, *-emi* jest właściwością języka polskiego.

W takim razie język polski byłby jakimś wyjątkiem, jakimś potworkiem nie tylko w bliższej rodzinie słowiańskiej, ale i w dalszej indoeuropejskiej. Tak oczywiście nie jest i wiemy, że rozróżnianie to pochodzi z końca XVIII w., że jest niefortunnym pomysłem Szylarskiego, przyjętym i spopularyzowanym przez Kopczyńskiego.

3) Reforma Kopczyńskiego tak się przyjęła w języku, że niepodobna jej usuwać. Odpowiadała widocznie potrzebie i duchowi języka.

Reforma Kopczyńskiego była czysto graficzna a nie językowa, Kopczyński bowiem kazał pisać w rodzaju nijakim *é* (pochylone), nie różniące się w wymowie od *y*. Nikt zatem do końca XIX w., kiedy *é* zostało wreszcie zarzucone, nie silił się na odróżnianie w wymowie: *dobrym ojcem* a *dobrém dzieckiem*, a i piszący popełniali często „błędy" pod tym względem. Tak więc w rękopisach Norwida znajdujemy zarówno *tém* głosem jak i pod *otwartém* niebem. Gdybym chciał użyć tu argumentu demagogicznego, to bym powiedział, że rozróżnianie *-ym* i *-em* jest ortografią Polski w rozbiorach, Polski w niewoli. Polska wolna powraca do tradycji przedrozbiorowej.

4) Rozróżnianie jest pożyteczne dla jasności myśli. Tak więc p. Zygmunt Nowakowski popiera to twierdzenie następującym przykładem: „Nie widział *partnerów i jaj, któremi* zarzucono scenę" i pisze: „nikt nie może mieć najmniejszej wątpliwości, że scenę zarzucono jajami a nie partnerami".

Prof. Nitsch odpowiada na to, że niestety język nie zawsze pozwala wszystko wyrazić z taką murowaną pewnością logiczną, a na szczęście można i trzeba koniecznie liczyć także bodaj trochę na inteligencję i domyślność czytelnika lub słuchacza. Gdybyśmy bowiem napisali wedle obowiązującej dotąd ortografii: „Nie widział partnerek i jaj, któremi zarzucono scenę" czyżby p. Nowakowski lub ktokolwiek inny mógł wątpić, że sceny jajami nie partnerkami zarzucono? chyba nie.

A jeśli to rozróżnianie w narzędniku i miejscowniku ma być takie dogodne, to czemuż by go nie rozciągnąć i na inne przypadki? Byłoby to i konsekwentne i możeby nas uchroniło od jakichś nieporozumień. A więc pisząc: „Ratusz w Chełmnie, którego już dawno nie odwiedzałem", narażam czytelnika na niepewność, czy idzie tu o ratusz, czy o Chełmno. Jakże łatwo tej niepewności można by uniknąć, wprowadziwszy rozróżnianie: *którygo* (ratusza) i *którego* (Chełmna). Niestety takich

sztucznych nowości, choćby i pożytecznych, językowi narzucać nie sposób! Pamiętam, jak niegdyś prof. Tad. Zieliński ubolewał, że w języku polskim nie ma form *participii futuri activi* i sądził, że np. łacińskie *moriturus* dałoby się przełożyć na polskie: *umrzący*. Ja sam czasem odczuwam brak w polszczyźnie takich form, jak francuskie *infinitif passé* (*avoir été*) i *futur anterieur* (*j'aurai fini*). Ale cóż robić, jak czegoś w języku nie ma, to trzeba się bez tego obyć!

5) Nierozróżnianie końcówek jest zubożeniem języka, szczególnie dotkliwym dla poezji.

Ten argument jest tak błahy, że szkoda nań doprawdy czasu. Poeci nigdy się nie krępowali ani rozróżnianiem ani nierozróżnianiem i rymowali, jak im było potrzeba. Mickiewicz rymuje: zbożem rozmaitem — żytem"; „sklepem nieruchomym — gromem"; „na pasie rzemiennym — obliczem promiennem"; „Scyzorykiem — z nikim" i nikogo to nie razi. W znanym wierszyku Bełzy mamy:

Gdzie ty mieszkasz? między swemi
W jakiej ziemi? — w polskiej ziemi.

choć podług ówczesnych zasad ortograficznych autor musiałby był napisać: między *swymi*. Toteż nie wątpię, że jak dawniej, tak i w przyszłości żadnemu dobremu poecie pisownia przeszkadzać nie będzie.

6) Nierozróżnianie końcówek odbija się szkodliwie na przedrukach dawnych pisarzy.

Mówiłem już, co o tym sądzić należy na przykładzie Norwida. Ale oto w „Warsz. Dzien. Nar." jakiś anonimowy autor, podpisujący się: l. art., chcąc pokazać „cały bezsens tych pomysłów ortograficznych" cytuje zdania„ które posłuszne ortografii, fałszują Orzeszkową", np. „Piękne miejsce jej rodzinne zostało dla niej na zawsze *straconym*", „Pytanie to *zadanym* było tonem grzecznym". Pan l. art., pragnąc przekonać nas, że „ta pisownia to czarna plama na kulturze polskiej", w zaślepieniu swoim nie widzi, że ...kompromituje tylko Orzeszkową, bynajmniej zaś nie obecną pisownię. Boć przytoczone zdania nic przecież na tym nie zyskają, jeśli formy: *straconym* i *zadanym* zastąpimy formami: *straconem* i *zadanem*. Zawsze bowiem pozostanie tu t. zw. *ablativus judaicus*, źle świadczący o stylu skądinąd zasłużonej autorki. Oto jakimi perfidnymi, a w gruncie rzeczy niemądrymi argumentami walczą przeciwnicy ostatniej reformy!

7) Na ostatek argument najpoważniejszy. Pan M. Pawlikowski twierdzi, że „*y* w narzędniku wszystkich rodzajów... dowodzi najdobitniej braku słuchu. Jest to generalizowaniem fonetyki dzielnicowej, wcale zresztą nie dodatniej, bezsensowna koncesya dla Warszawy". Niemal ile słów, tyle nieporozumień! Kto ma lepszy słuch, czy Szanowny Autor, który wbrew specjalistom słyszy to, czego oni nie słyszą, czy też owi specjaliści? — niech inni o tym decydują. Wiem tylko. że obserwacje językowe są dość trudne, trzeba umieć skierować uwagę na to co się chce zaobserwować, trzeba również obserwować mowę *nieprzymuszoną*, nie sugerując nic mówiącemu. Trzeba wreszcie zdawać sobie dokładnie sprawę z przeróżnych okoliczności, w których nasze obserwacje się odbywają. Słowem niemal owe scholastyczne: *quis? quid? ubi? quibus auxiliis? cur? quomodo? quando?* Otóż stosując się do tych reguł można śmiało powiedzieć, że ogół Polaków w nieprzymuszonej mowie nie rozróżnia końcówek *-ym*, *-em*, i *-ymi*, *-emi*. Co się tyczy Warszawy, to lud pospolicie ma tu *-em* zarówno w rodzaju męskim jak i nijakim. W mleczarni kelnerka pyta nas: „z *czem* pan życzy kartofelki, z masełkiem, czy ze słoninką?" (np. „życzy" nie „życzy sobie" i wszystko delikatnie zdrobniałe!), a na zapytanie koleżanki: „z *kiem* szłaś wczoraj Marszałkowską?" odpowiada: „z tem przystojnem bronetem, co żem go zapoznała w kinie". Wykształceni zaś ludzie mają tu wszędzie *-ym*, jeśli oczywiście mówią *nieprzymuszenie*, to znaczy nie silą się na wymawianie skojarzone z wyobrażeniami wzrokowymi wyrazów drukowanych pisownią Kopczyńskiego. W mowie *przymuszonej*, w uroczystych przemówieniach, z ambony, a szczególnie ze sceny, słyszymy często rozróżnianie *-ym* i *-em*, ale to dowodzi tylko, że i do tego można się nałamać.

W liczbie mnogiej we wszystkich rodzajach mamy bądź *-ymi*, bądź *-emi*. W Warszawie (wbrew obserwacji p. Pawlikowskiego) mówi się powszechnie *-emi* we wszystkich rodzajach, a więc: dobremi ojcami, matkami, dziećmi. W innych znów okolicach słyszymy tu *-ymi*, ale również bez konsekwentnego rozróżniania rodzajów. Jeżeli więc Komitet Ortograficzny wybrał końcówkę *-ymi*, to było to pogwałcenie supremacji stolicy i dawnej pisowni Kryńskiego, a bynajmniej nie „Koncesya dla Warszawy", jak to sobie autor wyobraża.

Kto wie, może z czasem końcówki *-em* i *-emi* wyprą swoje przeciwniczki: *-ym* i *-ymi*. Tak przecież dawne: *syr*, *cirpieć* przeszły w dzisiejsze: *ser*, *cierpieć*. Na razie w poprawnej wymowie obowiązuje *-ym*, a w liczbie mnogiej obok *-ymi* dopuszcza się i *-emi* (ale tylko w mowie, bo w piśmie taka swoboda byłaby już samowolą).

Z tych wszystkich przydługich nieco rozważań jasno wynika, że rozróżnianie *-ym* i *-em* oraz *-ymi* i *-emi* nie jest bynajmniej tym klejnotem mowy polskiej, za jaki uważać go skłonni niektórzy zacni, ale mało rzeczy świadomi, ludzie. Są podobno murzyni, którzy za najcenniejszą ozdobę uważają nawleczone na sznurek pudełko od sardynek. Ale białemu człowiekowi w takim naszyjniku nie jest do twarzy, a cóż dopiero Medyceuszowi!

ARTUR CHOJECKI

Mądralin, 16.VII.37.

DWOISTOŚĆ TEOZOFII TRENTOWSKIEGO

I

Ogłoszone świeżo pełne wydanie Listów Br. Trentowskiego [1]) pozwoli historykom myśli polskiej niejedno z poglądów i działalności tego filozofia objąć szerzej, tudzież pełniej niż dotąd wyjaśnić, zarazem jednak — powiedzmy to z góry — każe też postawić na marginesie tej działalności niejeden znak zapytania, a na portrecie jego indywidualności ukaże tajemnicze cienie czy plamy. Jaśniej niż dotąd okaże się, że była to osobistość dziwnie skomplikowana i nie jednolinijna.

Śledząc rozwój poglądów Trentowskiego, ma się niejednokrotnie do czynienia z osobliwego rodzaju łamańcami, niedomówieniami i wybiegami. Nie zawsze i nie odrazu łatwo zgruntować, gdzie tam prawda, a gdzie złudny, celowo obmyślony pozór i przezorna kombinacja, Najwyraźniej można by to ukazać, prześledziwszy uważniej zapatrywania religijne filozofa, jak one się wyraziły zarówno w dziełach drukowanych jak i w listach jego prywatnych.

Tak np. dzięki listom dopiero możemy rozmotać jedno przykre zakłamanie, w które się Trentowski zawikłał i które w rezultacie postawiło go wobec współczesnych i potomnych w błędnym świetle. Wiadomo, że Trentowskiego zalicza się powszechnie do wyznawców Kalwina. Za kalwina uważali go współcześni, np. Mickiewicz, który stąd wyciągał wnioski rzucające światło na jego poglądy filozoficzne; tegoż zdania byli najbliżsi nawet przyjaciele filozofa, utrzymało się ono również do dziś po jego biografiach. Bo też można się było przy tym powołać najoczywiściej na niejednokrotne wyznania Trentowskiego. On sam podawał się przez długi czas za kalwina, interesował się historią tego wyznania w Polsce, a córkę swą Olimpię (choć żona była katoliczką) ochrzcił pierwotnie w zborze protenstanckim.

Któż się mógł spodziać, że była to prosta mistyfikacja! Kalwinizm Trentowskiego był udany, był legendą, którą on sam usnuł, kiedy mu była potrzebna, i szeroko ją upowszechnił, którą też usiłował rozwiać, kiedy mu się stała chwilowo niewygodna.

Szukając trwalszego oparcia życiowego, zgodził się Trentowski w roku 1859 wyjechać z Fryburga do Paryża i oddać tam swe pióro i zdolności do dyspozycji Hotelu Lambert, w szczególności gen. Wł. Zamoyskiego. Miał pracować jako publicysta, jako profesor szkoły polskiej na Montparnasse, obok tego prowadzić zwykłą swą pracę naukową. Za to wszystko miał otrzymywać (poza honorariami osobnymi) 3000 fr. rocznie.

Otóż wówczas to dopiero wobec zdecydowanie katolickiego stanowiska obozu, z którym nawiązał stosunki, ów pseudokalwinizm zaczął Trentowskiemu ciążyć, stwarzał dlań sytuację dwuznaczną. Toteż filozof zdecydował się sprawę wyjaśnić, zarówno przed przyjaciółmi jak i przed nowymi protektorami.

„Czas już — pisał 20. IV. 1859 r. do Nakwaskich — bym wywiódł Państwa z jednego błędu: Ja nie kalwin, którym nigdy nie byłem i nie jestem, ale katolik. Brat mój jest katolickim księdzem i proboszczem, dziekanem w Piszczacu, gdzieś w Lubelskim. We wszystkich paszportach moich, starych i nowych, piszą: religii katolickiej. Jakże się więc stało, że uchodziłem przed Państwem za kalwina? Oto raz w Kehl p. Hrabina nacierała na mnie religijnie. Nie chcąc przeświadczenia jej relijginego drażnić filozofowaniem i usiłując rzecz tę przerwać, rzekłem, żem nie katolik, ale kalwin. Później nie wyprowadzałem Państwa z błędu, byście nie sądzili, żem dopuścił się lekceważącego żartu. I dziś nie wyprowadzałbym Państwa z błędu, gdybym nie przenosił się do Paryża między arcykatolicką Polonię...” [2])

Nie ten jeden raz zresztą taki elastyczny oportunizm zaprowadził Trentowskiego do samotrzasku. Podobny nieco wypadek zaszedł był już wcześniej, na gruncie stosunku jego do Z. Krasińskiego.

Korzystając z maski kalwina, Trentowski wcześnie dał się był poznać czytającej publiczności jako zacięty i namiętny przeciwnik duchowieństwa katolickiego, zwłaszcza wyższych szczebli jego hierarchii: od ostrych wypadów na „rzymczyków”, „papieżników”, aż się roi w publicystycznych pismach filozofa. Aliści i tutaj wypadło mu z postronnych względów na czas jakiś powściągnąć się i zmienić ton: z pogromcy przejść na obrońcę katolicyzmu.

W r. 1846 poznał on się i wszedł w ściślejsze stosunki z Krasińskim; uległ też odrazu urokowi genialnej, fosforyzującej umysłowości poety. Związek zacieśnił się tym bardziej, że Krasiński stał się opiekunem i mecenasem — dobroczyńcą filozofa. Przez wiele lat wypłacał mu roczną pensję w wysokości 4000 fr., niczego wzamian nie żądając krom rozwinięcia działalności publicystycznej w duchu religijno - patriotycznym i umiarkowanie zachowawczym. Od poglądów społecznych radykalno - demokratycznych Trentowski rzeczywiście zawsze był daleki, do pożądanych pojęć religijno-patriotycznych łatwo się dociągnął. W działalności tej zresztą sam Krasiński mu pomagał, przesyłając uwagi i całe wywody, które on włączał w swoje pisma. W ten sposób w szczególności doszło do współpracownictwa Krasińskiego w najgłośniejszych dziełach Trentowskiego: w *Wizerunkach* i w *Przedburzy*.

Trentowski, jak się rzekło, oddany był Krasińskiemu bez granic, a właściwiej powiedziawszy, nawet poza granice, jakie przystoją w stosunku człowieka do człowieka. Odzywał się doń słowami egzaltowanej czci, adoracji wprost przynależnej Bóstwu. „Tyle miłości i wdzięczności — pisze doń raz, — ile w tej dobie czuję dla Ciebie, można mieć tylko dla Boga”. Kiedy indziej nazywa go „Du-

---

[1]) *Listy Br. Trentowskiego* (1836—1869). Kraków 1937. Pol. Akademia Umiej.

[2]) *Listy*, stron. 364.

chem Świętym", „Pocieszycielem" itp. Rzecz jasna, że w pismach powstałych w dobie owego współżycia i współpracy z autorem *Przedświtu*, wydawanych zresztą z jego funduszów, powściągnął Trentowski całkowicie swój niedawny namiętny antykatolicyzm i antyklerykalizm, a nawet nie uchylał się od zdecydowanego stawania w obronie Kościoła katolickiego.

W rezultacie pisma owe, w szczególności *Przedburza*, odbiegały tonem, a nawet treścią poglądów, wcale daleko od pism wcześniejszych. Na tyle daleko, że filozof i tutaj, uprzedzając zdumienie przyjaciela, wyraźnego zresztą liberała, czuł się wewnętrznie zmuszony wytłumaczyć się przed nim z tej niespodzianej... ewolucji. Usprawiedliwia się więc przed Nakwaskim nieoczekiwanym wybiegiem, podając, że obronę szlachty i katolicyzmu wprowadził w *Wizerunki* nie ze swojego przekonania, ale tylko z przekonania narodu, mówiąc więc poprostu: ze względów utylitarnych.

„Nie to, co ja, filozof, myślę i czuję, ale co w sercu niefilozofa-narodu się dzieje, — to cel. Zabaczywszy o sobie, wyrzekłszy się samego siebie, rozpłynąłem się w przedmiotowym duchu i pożyczyłem mu ust własnych. Gdybym pisał algiersko-politycznej (od katolickiej Francji w gorącym piekle smażonej), lub kaukasko-politycznej, czerkiesko-narodowej (od schizmatyckiej Moskwy dręczonej) duszy w i z e r u n k i, gdybym odzywał się w duszy tej imieniu, chwalić bym musiał islamizm i polecać go jako broń przeciwko wrogom. Otóż z tejże samej przyczyny ujmuję się ninie za katolicyzmem". [3])

Nie tai zresztą, że takie jego stanowisko jest chwilowe: W innym jego dziele, w pisanej współczesnie *Bożycy*, ujrzeć go będzie można „po staremu" — powiada ironicznie — jako „kacerza i bezbożnika".

Obronie tej niesposób zapewne odmówić zręczności, ale nie da się także zaprzeczyć, że jest to tego rodzaju zręczność, z którą bardziej do twarzy sofiście niż filozofowi. W każdym razie w książce autor niczym się nie zdradził, że posługuje się katolicyzmem jedynie jako poręcznym narzędziem.

Chociaż może zarzut sofistyki nie jest tu na miejscu, może spotykamy się tu ze stanowiskiem innego zupełnie pokroju? Argumentować wobec chrześcijan jak chrześcijanin, wobec mahometan jak mahometanin, może nie tylko człowiek, dla którego chrześcijaństwo zarówno jak islam są sprawami obojętnymi. Poczynać sobie w ten sposób mógłby też ktoś, ktoby się uważał za stojącego ponad wyznaniami, czy religiami, na stanowisku nadrzędnym, z którego można by tamtych stanowisk podrzędnych nie odrzucać, ale łączyć je i posługiwać się jednym lub drugim, w miarę potrzeby. Otóż czy Trentowski właśnie nie mniemał, że stoi na takim stanowisku nadrzędnym, skąd może się swobodnie posługiwać światami pojęć tej czy innej religii, jak nauczyciel posługuje się sposobami argumentowania zależnie od stopnia rozwoju uczniów?

Trzeba powiedzieć, że do pewnego stopnia wypadek ten zachodzi tu rzeczywiście. Trentowski istotnie mniemał, że stoi na takim stanowisku nadrzędnym, ponadkatolickim, a nawet ponadchrześcijańskim. Mniemał mianowicie, że uzyskał taki górny punkt widzenia dzięki wzniesieniu się na wyżynę ideologii wolnomularskiej.

[3]) *Listy*, str. 220.

Jest bowiem faktem bezspornym, że należał on do loży masońskiej zarówno wówczas, kiedy okazał gotowość do usług publicystycznych Czartoryskiemu i Zamoyskiemu, jak i wówczas już nawet, kiedy tak rzekomo bez zastrzeżeń poddał się był kierownictwu ideowemu Z. Krasińskiego.

Nie ulega też najmniejszej wątpliwości, że ani jednego ani drugiego ze swych protektorów w tę swoją przynależność do loży nie wtajemniczył, inaczej mówiąc, nie odsłonił przed nimi swej niewątpliwej dwulicowości. Również w dochowanej korespondencji nigdzie ni słówkiem wyraźnie na ten temat nie wspomniał, z masonerią swoją przed przyjaciółmi pilnie się tail.

Odsłonił się zaś Trentowski całkowicie dopiero po śmierci. W cztery lata po zgonie wyszło dzieło jego: *Wolnomularstwo w swej naturze i wynaturzeniach* [4]), ostatnia praca jego życia. Autor umierając, polecił żonie ogłoszenie książki drukiem, a nawet wziął od niej co do tego uroczyste zobowiązanie (*„feierlich gegebenes Versprechen")*. Jakoż wdowa — jak podaje jej *„Nachtrag"* — z przyrzeczenia się wywiązała, choć ją od tego kroku powstrzymać usiłowano ze strony, skąd się tego jak najmniej mogła spodziewać; nie ulękła się jednak ani przestróg ani nawet gróźb (*„Abmahnungen, ja selbst Drohungen"*).

Bracia z loży, jak widzimy, byli ogłoszeniu dzieła Trentowskiego wręcz przeciwni. Przestrogi ich zaś i groźby płynęły nie z obawy, że dzieło to, ideowy testament filozofa, przyniesie odwołanie wyznawanych dotąd przezeń zasad, że będzie publicznym aktem skruchy, uczynionym przez odstępcę. Nie, odstępstwa ze strony brata, wieloletniego kierownika loży *„Zur edlen Aussicht"*, zgoła się nie obawiano. Obawiano się raczej, że gadatliwy filozof powie za dużo, że odsłoni w druku sprawy, których publicznie poruszać by nie należało. Zwłaszcza, że w latach ostatnich doszło było do pewnych rozdźwięków z racyj organizacyjnych między nim a „górami" hierarchii wolnomularskiej.

Jakoż rzeczywiście obawy te okazały się w pełni uzasadnione. Dzieło Trentowskiego może uchodzić, w całym znaczeniu tego słowa, za rewelację, i to rewelację podwójną. Odsłania ono raz nareszcie prawdziwy światopogląd religijny filozofa, ujawnia w ten sposób drugie jego janusowe oblicze, a zarazem wtajemnicza w ideologię środowiska, które ogarnęło Trentowskiego i wchłonęło go na ostatnie trzydzieści lat życia i działalności, ukazuje środowiska tego wiary i dążności.

Toteż dziełu temu, przeglądowi tak osobliwej jego zawartości, warto poświęcić chwilę uwagi.

(D. c. n.) STANISŁAW PIGOŃ

[4]) *Die Freimaurerei in ihrem Wesen und Unwesen.* Lipsk, F. A. Brockhaus, 1873; str. XXIV i 394.

CZYJŚ KOSZMAR O PIEKLE

I

Z NIEWIADOMEJ racyi jechałem ku jakiejś dalekiej, bardzo dalekiej stacyi. — Po drodze powysiadali, a ja pojechałem dalej... w wagonie byłem sam... nie, nie sam — wcale nie sam, bo tam — w ostatnim przedziale długiego wozu widziałem kogoś drugiego...

Stał tam człowiek z tłustą twarzą i nawisem ciężkich powiek. W zajadach miał szczeć i połysk smalcu... miał brudne paznokcie i brylantowy pierścień na palcu... Zresztą nikogo. —

Na coś długo czekano, szybowano... czekano, potem znowu szybowano.,. Zgrzytały bufory, gdy teraz łukiem pochylony pociąg wjechał na jakiś trawą zarośnięty tor... W świetle kopcącej lampy widziałem połysk szyn, które przeciągle dźwięczały — i białe, poziome rampy.., Naprzeciw jakaś buda i węgle... Mży deszcz -- krople spływają po szybie... Wzrok pełen piasku a czuwa — wszystko zasnuwa nuda...

Co to za stacya? — Już miałem otworzyć usta... Kogóż zapytam?... Znowu zgrzytnęły bufory... Latarnia zwrotnicy błyska... Znowu szybsze kół kroki przez przetoki... Może to Iwanie Puste? — a może to Potutory? ...Nie, to zdaje się Podwołoczyska...

Przeszybowali... skuplowali... Tak. Teraz.., Nie, nie! Wysiądę... Naco? na taki czas? Nie, cóż znowu, Tu, po ciemku? do rowu? — Nie, teraz pojedziemy dalej. —

II

I już nie wrócimy więcej. Bo i poco? Kogóżeśmy zostawili za sobą, kogobyśmy tam miłowali... ponad rzecz i potrzebę, a choćby nad sławę, a choćby nad strach... ponad życie, ponad wszystko, poprzez czas, i mimo samych nas? — ach, kogóżeśmy zostawili za sobą?

Czegoż się myśli łopocą? o co się tak kłopocą? Jakąż wzbierają trwogą? — Zostanie przecie człowiek sam ze sobą... Będzie miał siebie na wieczność, siebie samego... i może tego obcego, co tam stoi, który ma w kątach ust szczeć...

Czegoż się człowiek boi? — Mogliśmy zresztą, gdybyśmy byli chcieli, inaczej chcieć..,

Uwaga! dźwięczą zwrotnice. Przejeżdżamy granicę., Przeciąga chłód korytarzem... Kolana stygną podemną... Ciemno...

III

Mogłem był przecie wysiąść... Nie było nic, coby mnie tu trzymało i przeszkadzało. Ani ten co tam stoi bez ruchu, niemy widz, i dłubie w uchu zapałką... Ani ludzie, ani sprawy, ani nadzieja zabawy, ani wogóle nic... Pociąg szybowali powoli — był czas. Nie było woli, ani mocnej, ani słabej — nie było żadnej... Czy to jedni w martwy punkt wpadli?

IV

Ale to nic! Tamci nas tam z martwego punktu wytrącą... Zimno? — będzie gorąco... Parną jest cudza krew. — Głucho? — będzie gwarno... głośny jest cudzy krzyk! — Pusto? będzie ludno... Nudno? — będzie szumno: ciekawy jest cudzy strach przed trumną.

V

Jedziemy w ciemną noc... Rozgniotłem muchę na szybie. Tak samo można ludzi póki się samemu żyje! — Dybie na wszystko czas. I wchłania i strawi w łonie i nie zostawi nic. Stoi nad nami jak kat. — Czy to nie wszystko jedno: godzina, czy dwadzieścia lat? Bo i co dalej? — W tem sedno... Na odpór strasznemu nic, które jest gorsze niż piekło, jedyną jest życia wściekłość!.. póki się żyje... Ach, naco tyle krzyku?...

Czy nie możnaby na tej ławce zasnąć, w tym choćby za ciasnym kołnierzyku?...

O jakże w uszach dzwoni i w piersi wyje od tej dławiącej pustki. Głuchy żelazny dźwięk ciągnie po szynie... i ani się zerwie, ani się nie odwinie, ani się wzmoże, ani ścichnie. — Kiedy się człowiek topi, to wtedy w strasznej ciszy wody huczenie takie słyszy, nim go śmiercią zaleje morze. Niby w uszach dreny w nieznane... sygnał zaświatów spływający w głuche anteny...

Ale mu oto w głos wpada suchy, uparty stuk kłapiących w szyny kół, jak zwarty tupot nóg: Pięćset pięćdziesiąt pięć — czternaście i dwa i cztery — tysiąc sto osiemdziesiąt i dwieście czterdzieści osiem — siedemset trzydzieści dziewięć — czterysta trzydzieści siedem — milion sto dziewięć tysięcy — tysiąc dziewięćset milionów — sześćset sześćdziesiąt sześć...

Co to? — co to? — To ten tam liczy za ścianą, który ma w kątach ust szczeć... I liczy i liczy, i liczy krokami kół, które kłapią, jak młotek bijący w stół. I cyfrę za cyfrą szczeka jak obłąkana maszyna, drążąca mózg człowieka. —

Dlaczego muszę krzyczeć, a nie mogę?! Ten po szynie huczący ton ujął mi gardło w kleszcze. — Ani trwać, ani uciec... Twardy śmiertelny dyżur. A tamten rachuje, rachuje i jeszcze i jeszcze... Za oknem siecze deszcz... Pięćset pięćdziesiąt pięć — sześćset sześćdziesiąt sześć...

Jezu!

VI

Co synu?

...To dzwoni sygnaturka... W jasnem słońcu toną szerokie winnice i cyprysy wysokie...

Przecież jesteśmy w Assyżu...

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

NA WIDOWNI

Akademik o żydach w literaturze.—Co ja o tym myślę.— O człowieku, co robił z siebie orkiestrę i o krawczyku.— Partykularyzm kulturalny i żydowski przywilej duchowej eksteryrialności. — Gapie i gospodarze. — Pierwsza rzecz być kompletnym obywatelem.

W WARSZAWSKIM świecie literackim zdarzyło się coś. Mianowicie członek Akademii LiteraturyKarol Irzykowski wystąpił w „Kurjerze Porannym" z artykułem pt. „Udział żydów w literaturze polskiej", w którym przyznał, że istotnie żydzi „psują nam kuchnię literacką". Było to niespodzianką i dla Polaków i dla żydów, Irzykowski bowiem dotąd dawał żydom kurs conajmniej *al pari*, co odpowiadało jego poglądom na literaturę, jako na życie odrębne, odczynione z pierwiastków krwi. Żydzi jak widzę w „Nowym Dzienniku", bardzo się obrazili.

„Zdemaskowanie się Karola Irzykowskiego — pisze żydowski publicysta — wywołało we mnie naprzód uczucie bolesne. Poprostu bolała mnie świadomość, że człowiek, którego w Polsce powszechnie szanowano dla niezależności jego myśli, którego rzetelność intelektualna dla nikogo z nas nie ulegała żadnemu zakwestionowaniu, do którego jako do preceptora zwracały się generacje młodych i najmłodszych", że ten Irzykowski na starość „tak skapcaniał umysłowo". „Uczucie bólu i krzywdy ustępuje miejsca uczuciu nie mniej bolesnego wstydu".

Słowem Irzykowski dotąd był geniusz, teraz jest kapcan. Wypadałoby mi jako nacjonaliście polskiemu, zająć wobec Irzykowskiego stanowisko odwrotne, ale się wstrzymam. Miałem zawsze wiele osobistej sympatii do niego, a brak mi dostatecznych danych, czy go ta częściowa zmiana poglądów na stosunki nasze literackie używotni. Upoważnia mnie do zabrania w tej sprawie głosu okoliczność, że Irzykowski w pewnym miejscu swej rozprawy wtrącił — może ironicznie — pytanie: „A co na to p. Zygmunt Wasilewski?"

Wiele byłoby do gadania, ale naprzód służę przypowieścią.

Na ulicy Polnej pod parkanem jakiś żebrak robił muzykę. Zdaleka go słyszałem. Trudno mi było w zmroku go rozpoznać i przykro było patrzeć. Był to chłopiec kaleka. Ciągał się na deszczółce z kółkami, posługując się rękami, którymi odpychał od siebie przestrzeń przebytą. Na posterunku żebrackim rozpoczynał osobliwą muzykę: gwizdał coś skocznego, a rytm wystukiwał o chodnik drewnianymi kopytami u rąk.

Musiał w zębach mieć jakąś blaszkę, bo gwizdanie było przenikliwie ostre. Melodia zawsze ta sama: jakieś połączenie oira-polki z fokstrotem murzyńskim. Wszystko razem w połączeniu z łoskotem nieszczęsnych kastanietów obliczone było na hałas i miało w sobie coś bezczelnego, nieludzko uporczywego. Uciekałem od tej muzyki. Ale razu pewnego, widząc dorożkarza, że odszedłszy od konia przypatrywał się tej orkiestrze, zatrzymałem się przy nim, aby się czegoś o muzyku dowiedzieć. Widziałem na twarzy dorożkarza skupienie ciekawości i podziwu.

— Co to — pytam — za chłopiec, bo nie dowidzę. Czy to polskie dziecko?

A ten z całą naiwnością odpowiedział:

— Wiadomo żydek. — A gdzieżby ta katolik taką rzecz potrafił!

Olśniła mnie nie tyle informacja, ile postawa psychiczna dorożkarza, Uderzający kompleks niższości, a przytym brak smaku. Coś temu dorożkarzowi imponowało: jakaś obcość nieznana formom jego wiejskiej kultury, zapewne i pomysłowość, kto wie czy i nie ta natarczywość w narzucanin się uwadze przechodniów, może i niesamowity brak proporcji między nędzą ciała, a jaskrawością ekspresji. Wątpię, czy współczucie grało tu jaką rolę, jestem pewien, że konfrontował swoją muzykalność z tym nowym dla siebie zjawiskiem muzycznym. Onby tak nie potrafił. Jakiś Jankomuzykant, gdy w polu na fujarce piska, to rzecz zwyczajna, ale takie coś!

„I myśliłem" sobie — jak mówi Norwid— ile w poczciwej publiczności polskiej jest tego dorożkarza. Całe powodzenie swoje w Polsce jako sztukmistrze — i nie tylko w sztuce — żydzi zawdzięczają tej rustykalnej naiwności, z jaką gapiowata ciekawość reaguje na obcość.

Szlachcicowi i chłopu tak samo imponował kupiec żydowski. Każdy mówił o sobie: jabym tak nie potrafił. To samo z adwokatem itd. A żywioł żydostwa jest jak rtęć rzucona na płaszczyznę: szuka dla siebie wgłębień. Każde takie poczucie niższości — to dla niego dołek, w którym się ustala. W Polsce za dużo było tych dołków. Czymże są w Polsce żydowskie wydawnictwa literackie, jak nie atrakcją dla ludzi pierwotnych, albo dla ludzi doktryny kosmopolitycznego ksenofilizmu?

Irzykowskiemu i jedno i drugie tak sprzyja, że dopiero po kilkudziesięciu latach ocknął się z podziwu dla żydów, biorących udział w literaturze polskiej. I to nawet częściowo — zirytowali go poprostu ci i owi indywidualnie, ale zasadniczego stanowiska wobec żydów nie zajął. Kłótnia kuchenna. Owszem ma dla nich dużo sentymentu: wymienia pięciu żydów, których uważa za swych mistrzów. Że nam się żydzi nie udali, winę za to zwala na nas samych, żeśmy ich „źle wychowali", żeśmy ich „ogłupiali". Chciałby mieć żydów „mądrzejszych"; „ich obowiązkiem jest być mądrymi", „jeżeli nie, to precz: głupców i nieuków mamy wśród gojów dosyć".

Nie rozumiem Polaka z taką logiką i z takim zamiłowaniem symetryczności, ale przyzwyczajony jestem do Irzykowskiego, że go nie rozumiem, więc mnie nie zadziwia jego „ambiwalentność", a nawet jego, jak się mówi naukowo, „adekwetność" wobec żydów. Dobrze jednak, że trochę znudził mu się żyd, robiący z siebie orkiestrę. „Zamiast być źródłem mody, żydzi są tylko jej krzewicielami", kończy się na tandecie. To prawda, ale jeżeli kto w Polsce odpowiadać może za wychowanie żydów literatów, to chyba socjalizm; trochę winy Irzykowski winien wziąć na siebie.

Co do tej mody i snobizmu mam w zanadrzu inną przypowieść, wysnutą ze wspomnień szkolnych.

W moim gimnazjum (w mieście prowincjonalnym, nie mającym jeszcze kolei) panowała psychoza ubierania się u żyda Frajtaka (Freitag). Pamiętam, jak mnie ojciec namawiał, prosił, zmuszał, abym nowy mundur czy spodnie zamówił u Gawlika, znanego z dystyngowanego kroju i sumiennego szycia. Za nic. Cała ósma, siódma klasa ubierała się u Frajtaka. Czułbym się upośledzony, gdybym nie miał takich kloszów, jak inni, że ledwo kawałek buta widać. Coby zresztą Frajtak o mnie powiedział! On był istotnie „źródłem mody", miał naganiaczy i władał naszymi ideałami, gdy Gawlik cicho siedział, jak fiołek w trawie. Później dopiero na uniwersytecie sprawa przedstawiła mi

się inaczej. Kolega warszawiak powiedział mi rzecz zjadliwą:

— Myśmy zawsze poznawali kielczan po śmiesznym kroju ubrań, Kołnierz paltota z tyłu odstaje, portki jakieś cudaczne...

Myślałem, że się spalę ze wstydu. A wszystkiemu był winien kompleks cielęcy mody, tak znakomicie wyzyskiwany przez żydów.

Powiem wprost: maniera myślenia socjalistycznego o literaturze nie jest lepsza od parafiańszczyzny kieleckiej za mojego dzieciństwa. Nie lubię „literatów", nie znoszę pychy (*hucpy*), z jaką literaturę uważają za świat nadrzędny nad kulturą narodu.

Nie to jest słabą stroną naszych stosunków, że istnieje plebs, nie tworzący kultury nowej wyższej i zadawalający się kulturą naturalną; ta naturalna kultura jest gwarancyjnym balastem naszej łodzi; ale żagle dowolnie nastawiane przez specjalistów różnej twórczości bez żadnej subordynacji w stosunku do nakazów kultury ogólnej — to jest groźna parafiańszczyzna.

Trojaka już była niedola cywilizacji polskiej od drugiej połowy 19 wieku: 1) wrogość cudzej państwowości, 2) prądy kosmopolityzmu socjalistycznego i 3) opanowanie przez żydów przy pomocy socjalizmu i masonerii duchowości polskiej. Przejdźmy myślą po kolei te trzy czynniki, a przekonamy się, że każdy z nich i wszystkie razem do spółki — choć tak różne — robiły jedno: oduczały ludzi od myślenia o kulturze potrzebnej gospodarzowi narodu. Co do pierwszego z nich działał sam czas, że odzwyczajano się od myślenia po gospodarsku o tej całości. Życie się uprywatniało. Myśleli zaborcy, myśmy byli na wywczasach politycznych — rzecz znana. Ale te dwa inne czynniki nauczyły nas wstydzić się myślenia w katogoriach narodowych.

Duszą narodu i jego postacią jest jego kultura. Ponieważ nikt nie myślał o niej jako całości, zeszła ona na stopę życia naturalnego, ratującego swoje szczątki, a „geniusze" bawili się sportowo każdy swoją kulturą w swoim światku. Socjalizm ze swoją pogardą dla rodzimości i patriotyzmu przyczynił się w wielkim stopniu do tego, że wychowana w jego szkole inteligencja wyemigrowała z duszy narodu poza progi świadomości dziejowej i samopoczucia narodowego. Zubożył kulturę polską najazd, zubożyło wyprzęganie się z narodu za pozwoleniem doktryny. Obojętność na sprawy narodu znalazła usankcjonowanie u intelektualistów, głoszących równość i braterstwo z żydami.

Pomyślmy, w jak dogodnych warunkach znaleźli się żydzi. Świat polski w sferze powołanej do tworzenia na warsztacie polskim, podzielony był psychicznie na dwie części: gospodarzy i gapiów. Los przeznaczył przecież żydów do roli gapiów. Nic ich duchowo z dramatem duszy polskiej nie wiązało. Jeżeli nas literatów, psychicznych emigrantów z duszy polskiej, skazujących się dobrowolnie na rolę gapiów życia polskiego, dręczyło jeszcze sumienie, choćby to, żeśmy żydów nie wychowali, to żydzi i w sumieniu swoim nie byli obarczeni. Owszem mogli wkrótce z dumą stwierdzić, że dobrze literatów polskich wychowali.

Dosyć wyobrazić sobie człowieka poza szrankami trosk i walk o dobro środowiska, aby spostrzec, jak wielce uprzywilejowany jest w tym położeniu żyd, zupełnie wolny od odpowiedzialności moralnej za to, co się w środowisku całym dzieje, a nawet interesowany, aby się działo coraz gorzej.

Polski literat, nauczyciel, czy urzędnik zbył się troski o całość, ale zostały mu ambicje choćby sportowe w granicach zawodu, żyd literat wolny od wszelkich zobowiązań co do treści tego, co pisze, traktował zawód jako hecę dla gapiów, zyskowną dla siebie materialnie i dającą wiele satysfakcji. Kpić sobie z polskich gapiów, prawodawcą być mody, pośredniczyć ze światem, wodzić za nos krytyków i organizować literaturę tak, aby z niej nie było żadnego pożytku dla kultury ogólnej — toż to pozycja, o którą goj konkurować nie powinien.

Czy literat powołany z natury rzeczy na ideowego przedstawiciela kultury polskiej, ma czekać aż go spotka osobista przykrość ze strony żydów literatów, żeby poddać rewizji swój do nich stosunek? Czy wystarcza, gdy na usprawiedliwienie swego stanowiska przytoczy pięciu sprawiedliwych, ratujących cześć Sodomy i to dla tego tylko sprawiedliwych, że osobiście okazali się pisarzowi użyteczni? Czy literat nie powinien mieć wobec sprawy kultury zasadniczego stanowiska?

Jedyne prawowite stanowisko zająć można tylko między gospodarzami, obejmującymi całość zagadnień polskich, tyczących zarówno jakości kultury, jak i samego bytu Polski. Kto takiego stanowiska zająć nie potrafi, ten nie jest człowiekiem kulturalnym. Ten jest z partykularza zagadnień, ten ma na sobie źle skrojone szaty — kołnierz z tyłu odstaje. Śmieszne, małostkowe są kwestje personalne światka literackiego (jako takiego), gdy cała struktura kultury z góry zacieka do fundamentów i grozi ruiną.

Bo to nie jest zjawisko odosobnione. Wszystkie gniazda kultury mają teraz pretensję do autonomii swoich interesów, wszystkie odwrócone tyłem do specjalności najważniejszej, jaką jest byt całości narodowej.

Cała cywilizacja traci fason, jest partaczona jak owe ubrania żydowskiego krawca. Skądże się biorą takie fragmenty budowy, jak Polska Akademia Literatury, lub Tow. Krzewienia Kultury teatralnej? Z tego samego źródła natchnień, co dzisiejsze budownictwo polityczne. OZN naprzykład jest wymownym zjawiskiem tego pomieszania pojęć, że można budować cokolwiek bez poszanowania prawa ciążenia do ziemi, że można poczynać budowę domu od dachu.

Wyobraziło się nowym ludziom, oszołomionym potrzebą specjalizacji zawodów i dziedzin twórczości, że każda dziedzina ma zupełną samoistność. Jeżeli państwo jest dachem nad głową narodu, to ten dach jest bytem samoistnym i własnością urzędników; jeśli piśmiennictwo ma być oparte na pracy zawodowej, jak w społeczeństwach cywilizowanych, to ten świat ma swoje od rębne prawa kultury, jedynym zaś jego zadaniem społecznym jest tworzyć związek zawodowy pisarzy bez względu na ich pochodzenie i dążenia, bez względu na to, czy są agentami obcych intererów. Oczywiście wtedy nie istnieje dla nich kwestja żydostwa. Wtedy PEN — klub staje się najwyższą instytucją zawodową, z której nie słychać głosów ziemi, posterunkiem kultury esperanckiej.

Tak tedy literat polski idzie na gapia w świat w źle skrojonym przez żydów ubraniu i przypatruje się sztukmistrzom obcym, jak ów dorożkarz: „Gdzieżby tam Polak tak potrafił!".

Konkluzja moja jest taka. Powinny istnieć specjalizacje. Nikt nie powinien wymagać od literatury i sztuki, aby funkcjami były polityki czy

gospodarki, ale niechże te wszystkie specjalne dziedziny trzymają się kupy człowiekiem tworzącym. Na tym właśnie polega dobra kultura, aby nad każdym warsztatem stał człowiek kompletny, z kwalifikacjami gospodarza tej całości cywilizacyjnej, która dała mu życie duchowe.

Dobra kultura ma na celu wychowanie człowieka z ambicjami gospodarza swego narodu. Jeśli pozwolimy w tym względzie siebie stropić, to Polska — strach pomyśleć — zejdzie do roli gapia narodów i w poczuciu swej niemocy, że tak nie potrafi, podziwiając cudzą zdolność życia, stanie się obiektem cudzych gospodarzy.

O to właśnie chodzi obcym agenturom.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

WIZYTA SZWEDZKA

Bawił u nas przez dni parę, a potem odleciał samolotem do Berlina szwedzki minister spraw zagranicznych Sandler. Wizyta kierownika polityki zagranicznej bałtyckiego państwa północnego miała charakter kurtuazyjny i żadne jej akty formalne nie towarzyszyły, warto jednak, mimo to, zastanowić się nad pozycją dwóch krajów oddzielonych od siebie morzem, ale również i morzem, swoją pozycją geograficzną, ściśle związanych.

Szwecja jest już myślą i charakterem swojego kraju bardzo daleko od czasów, gdy militarną ekspansją zadziwiła Europę. Selma Lagerlöf w słowach zwróconych do czytelników polskich, pisze, że „Kiedy my, Szwedzi, czytamy w swych książkach historycznych o tem, jak nasi królowie nawiedzali Wasz kraj wojną i poprzez Morze Bałtyckie wiedli swe wojska do Warszawy i Krakowa, brzmi to w uszach naszych jak poemat. Nie pozostało nam wszak nic z owych ziem i skarbów, które wywalczyli sobie przodkowie nasi, nawet nasze podania ludowe nie umieją już nic opowiedzieć o owych długich i licznych wojnach". W ojczyźnie Liliecrony nawet podania ludowe nie są w stanie sięgnąć pamięcią do owych czasów, tak są odmienne od oblicza dzisiejszego kraju statecznego, spokojnego, z królem - mieszczaninem na czele Protestantyzm, który kiedyś był motorem działania, na dłuższą metę stał się środkiem nasennym, zmieniając ambicję walki i podboju na ideał materialnego dosytu. U nas inaczej. Dla nas szwedzkie mogiły, szwedzkie okopy oraz klasztor częstochowski treścią są podań ludowych po dzień dzisiejszy, trylogia laureata Nobla Sienkiewicza, uplastycznia każdemu w sposób genialny czasy „potopu", a strofki o wspaniałym odwecie Czarnieckiego, który „...rzucił się przez morze" — słuchamy salutując i z odkrytą głową.

Minister Sandler był w Warszawie i Berlinie. Nie przypadkowa to trasa. Niemcy hitlerowskie próbą uniwersalistycznej idei nordyckiej pragną wciągnąć Szwecję w krąg swojej polityki. Przed ojczyzną Liliecrony znowu są widoki ekspansji z tą wszakże wielką różnicą, że już w roli wasala. Socjalistyczny ustrój państwa nie będzie stanowił — wbrew przypuszczeniom rozmaitych naszych „Robotników", „Dzienników Ludowych" — dość mocnej przeszkody, większą zaporę oddzielającą Sztokholm od Berlina, może być wpływ owego wiekowego środka nasennego — protestantyzmu oraz silne w każdym człowieku poczucie wolności i własnej suwerenności. A suwerenność tę Szwecja utrzymać może jedynie przez prowadzenie wspólnej z nami polityki Bałtyckiej zapewniającej wszelkie możliwości na łączącym nas morzu. Sprawa jest w koncepcji swej jasna i prosta. Należy owej prostoty strzec, nie pozwalając na żadne krzywizny, cel wysiłków niemieckich.

Współpraca nasza ze Szwecją jest w swych codziennych przejawach uregulowana. W dziedzinie kulturalnej posiadamy już od paru lat wspólną umowę, w dziedzinie gospodarczej wymienismy zboże i węgiel na rudy i maszyny. To na codzień. Zwracajmy jednak pilnie oczy na zachodzące wciąż procesy dziejowe. Prasa sanacyjna przypomina, iż niedawno min. Beck oświadczył, że żyjemy w okresie przejściowym. Ważkie te i pełne głębi słowa, może, zdaje się, wypowiedzieć z całą odpowiedzialnością, każdy minister i w każdym okresie historii. Dobrze, że sobie z tego zdaje sprawę. Życzymy wyciągnięcia odpowiednich wniosków.

FRAGMENT USTROJU

Nie po raz już pierwszy p. Rudolf Wiesner się popisuje. Przypominamy „Głos" „Myśli" opowiadający, jak to pod Grudziądzem zjazd *Jungendeutsche Partei* czyli po prostu *Hitlerjugend* w pełni zewnętrznej gali śpiewał *„Es kommt der Tag..."* Działo się to w okresie wzmożonych represji politycznych kierowanych pod adresem organizacji narodowych. Nie dawno również odbył się zjazd *Jungendeutsche Partei*, czyli poprostu *Hitlerjugend*, tym razem w Kozach pod Sempólnem (Pomorze) na którym p. Rudolf Wiesner mówił ni mniej ni więcej, tylko oto tak:

> „My nie jesteśmy obcymi na tej ziemi, która jest i pozostanie niemiecką póty, póki my jesteśmy i zostaniemy Niemcami. Krew i pot bowiem wielu pokoleń uczyniły ją naszą nieodłączną ojczyzną, której nam nie wydrze żadna moc świata. Prędzej stracimy życie, niż opuścimy tę niemiecką ziemię ojczystą".

Któż to jest ów p. Wiesner? Niemiec i obywatel polski, mało — senator Rzeczypospolitej z mianowania. Rozumiemy dobrze uczucia patriotyczne i tych mu za złe mieć nie możemy, ale każdego obywatela, bez wyjątku obowiązuje lojalność w stosunku do państwa. Lekceważenie tego obowiązku pociąga za sobą poprostu interwencję prokuratora. Poza obowiązkami z tytułu obywatelstwa, p. Wiesner ma zobowiązania z tytułu pełnienia swoich funkcji, co przecież stwierdził uroczystym ślubowaniem.

Poseł czy senator z wyboru może w ustroju parlamentarnym reprezentować cząstkę ludności usposobionej najbardziej wrogo w stosunku do istniejącej państwowości. W razie przekroczenia granic działania, niezgodych z piastowanym stanowiskiem, za zgodą Izby wkracza prokurator. Cóż jednak powiedzieć o zachowaniu się człowieka, któremu Rzeczpospolita powierzyła sprawę lojalnego ze sobą współżycia oraz współpracy społeczeństwa niemieckiego, korzystających ze wszystkich uprawnień, jakie daje posiadanie obywatelstwa polskiego? Cóż powiedzieć i o tych, którzy dokonali wyboru, którzy spośród wielu akurat p. Wiesnera uznali za najbardziej godnego reprezentowanie w Senacie mniejszości niemieckiej, a wśród

mniejszości majestatu Rzeczpospolitej i powagi jednej z naczelnych Jej instytucji?

Sprawa senatora Wiesnera (czy znowu ujdzie mu bezkarnie?) odsłania nam i naświetla (niestety — jaskrawo...) niektóre fragmenty ustroju. Ustrój ten, owoc dziesięcioletnich zapowiedzi, uchwalony ostatecznie dwoma nawrotami przy współudziale najwybitniejszych umysłów interpretatorskich po mistersku, zaiste, komentujących obowiązujące regulaminy, ustrój ten czyniący Państwo wspólnym dobrem wszystkich obywateli i nie różniczkujący ich według wartości, jakie wnoszą w życie publiczne, czyli po prostu na Naród i elementy mu wrogie, ustrój ten może doprowadzić — jak widzimy — do sytuacji, w której Rzeczpospolita może żałować swojego wyboru i swojej nominacji. Sytuacja nad wyraz kłopotliwa i taka, jakich na przyszłość wszyscy pragnęlibyśmy szczerze uniknąć.

Twórca ustroju pułk. Walery Sławek odznaczony został za swój projekt najwyższym orderem Orła Białego...

NAUKA i LITERATURA

Z DZIEJÓW KOŚCIOŁA

Choć już zabrakło nam najdzielniejszych pracowników na polu historii Kościoła, a w szczególności Kościoła w Polsce, a mianowicie ks. Jana Fijałka i ks. Likowskiego, jednakże następcy ich krzątają się tak żywo i dają rzeczy tak cenne, że ta gałąź historii wciąż jaśnieje wielkim blaskiem. Szczególnie w dwóch uniwersytetach widzimy tu wielkie ożywienie i chlubną produktywność. We Lwowie ks. Józef Umiński, w Warszawie ks. Z. Obertyński kształcą zastęp młodych historyków kościelnych, wskazując tematy godne opracowania, darząc uczniów radą i zachętą.

„Historia Kościoła" napisana przez ks. Umińskiego (Wydawnictwo Zakładu Ossolińskich we Lwowie) zdobyła sobie należne uznanie i poczytność zarówno dla pięknego stylu i jasnego przedstawienia kwestyj poszczególnych, jak i dla gruntowości, jakiej dotąd nie miał u nas żaden podobny podręcznik. Zalety te autor dawno już ujawnił w pracach swoich pomniejszych (śliczny szkic o Bolesławie Chrobrym i św. Wojciechu ogłoszony w „Orędowniku" poznańskim 1924 r.); teraz widzimy je w małym, ale ciekawym przyczynku, oświetlającym działalność Andrzeja biskupa Zwierzyńskiego.

Ze szkoły ks. Obertyńskiego wyszli młodzi badacze których organem są „Studia ecclesiastica", wydawane przez wydział teologiczny uniwersytetu warszawskiego. Jak dotąd, widać w nich predylekcję do czasów jagiellońskich. Pierwszy z tomów wydanych mieści pracę ks. Folwarskiego o biskupie płockim Erazmie Ciołku. Postać tego biskupa już nieraz nęciła historyków polskiej polityki: (Lukas) i historyków kultury (Hartleb), gdyż był to mąż stanu jeden z najzdolniejszych, jakich miała Polska, a przy tym jeden z pierwszych promotorów i protektorów polskiego humanizmu. Z plebejskiego wyszedłszy stanu (nie miał nic wspólnego z tymi Ciołkami, z których wywodził się Stanisław August), dzięki ogromnej ambicji i usilności dobił się dostojeństw wysokich, nawet i o kardynalat śmiał się pokusić. Cieszył się uznaniem papieży, na których dworze przebywał jako ambasador króla Zygmunta. Politykę jego — mającą wiele ciekawych i śmiałych posunięć — podkopała zawiść ludzką, tak iż wiele zamysłów nie zostało w czyn wprowadzonych. Odbiło się to niekorzystnie zwłaszcza na sprawie krzyżackiej, którą król Zygmunt załatwił hołdem pruskim, zamiast, jak to było pierwotnie w planie, przesiedlić krzyżaków na kresy południowo-wschodnie, gdzie mieliby bronić Polski przed najazdami tatarskimi... Wiele ciekawych szczegółów podobnych odsłania książka ks. Folwarskiego, godna czytania przez każdego, kto interesuje się polską historią.

Druga książka tej serii, monografia: „Królewicz kardynał Fryderyk Jagiellończyk", napisana przez ks. Henryka Rybusa, już mniejsze budzi zaciekawienie. Nie jakobyśmy w niej widzieli jakieś poważne usterki. Praca to cenna, napisana uczciwie, rzetelnie, poparta mnóstwem nieznanych dotąd źródeł. Ale autor nie ma jeszcze tego daru wizji, jaka potrzebna jest monografiście, dowiadujemy się bardzo wielu szczegółów o kardynale Jagiellończyku (często niestety niepochlebnych), ale nie potrafimy sobie jeszcze, czytając, uprzytomnić postaci tego najmłodszego z synów Kazimierza Jagiellończyka, a brata świętego Kazimierza. A wymagania nasze dla tego są tu wielkie, że pamiętamy wspaniałe monografie św. Kazimierza oraz Jana Olbrachta, nakreślone przez Fryderyka Papéego...

Obok duchownych pracują na polu badań nad historią Kościoła także uczeni świeccy. Zdaje się, że po W. Abrahamie pierwsze dziś miejsce na tym polu zajmie prof. T. Silnicki z Poznania. Świadczy o tym jego historia Kościoła na Śląsku zamieszczona w publikacjach Instytutu Śląskiego w Katowicach (o których jeszcze napiszemy osobno). Nic też dziwnego, że jemu właśnie powierzono uzupełnienia — co do polskich spraw — olbrzymiej monografii „Dzieje papieży" Seppelta i Löflera, wydanej wspaniale, przy imponującym zasobie materiału ilustracyjnego, przez Wydawnictwo Polskie R. Wegnera w Poznaniu. Jeżeli cała ta publikacja godna jest najwyższej pochwały, dla wielu zalet, jakimi są: żywy i zajmujący styl, bezstronność sądów (autorowie nie wahają się osądzać surowo ciemniejszych kart historii Kościoła), spokój i rzeczowość w przytaczaniu faktów, unikanie domysłów i hipotez — to pochwały te odnoszą się i do uzupełnień danych przez Silnickiego.

Innym uczonym świeckim, który inicjuje badania nad historią Kościoła w Polsce, jest niestrudzony prof. Hahn. Zainteresował on opinię uczonych „Religijnością biskupa Krasickiego", o którym dotąd pamiętało się częściej jako o poecie niż jako dostojniku kościelnym — tę więc drugą stronę jego działalności odsłonił lwowski badacz, dając przykład młodszym, którzy już dorzucają ciekawe przyczynki.

Ale i poza obszar Polski sięgają nasi badacze historii Kościoła. Przede wszystkim interesują ich czasy apostolskie, następnie zaś pierwsze wieki chrześcijanizmu. O wspaniałej księdze arcybiskupa Teodorowicza „Od Betleem do Nazaretu" (Księgarnia św. Wojciecha) jużeśmy pisali na tym miejscu. Więc na zakończenie tego — pobieżnego i niepełnego przeglądu dodamy jeszcze dwa nazwiska: ks. J. Czuja i ks. A. Kwiecińskiego. Pierwszy z nich, najczynniejszy współpracownik poznańskiej biblioteki „Pism Ojców Kościoła", dał teraz bardzo wartościową pracę o „Św. Cyprianie na tle epoki" (Kraków, Kięgarnia krakowska), gdzie nie tylko określił znaczenie tego wybitnego pisarza i męczennika dla lat mu współczesnych, ale ukazał też wpływ jego na czasy późniejsze. Ks. Kwieciński zajął się sprawą pobytu św. Piotra w Rzymie za Nerona; książka ta napisana żywo, bystra w argumentacji, a mogąca zaciekawić czytelników „Quo vadis."

J. B.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Po 27 latach pobytu w Polsce opuścił na zawsze Warszawę jeden z największych naszych przyjaciół i prawdziwych polonofilów w Czechach, prof. Wacław Dresler. Już na ławie szkolnej (1897) zaczyna swą karierę literacko-publicystyczną od tłumaczeń z literatury polskiej. Na studia wyższe pojechał do Krakowa, gdzie ukończył wydział filozoficzny i gdzie zaprzyjaźnił się z Wyspiańskim, Przybyszewskim i Kasprowiczem. Za namową Przybyszewskiego na rok przed wybuchem wojny światowej przenosi się do Berlina, gdzie pracuje w polskiej agencji prasowej, jednocześnie obsługując prasę czeską.

W czasie wojny światowej dzielnie służy piórem propagandzie polskiej, pracując w dalszym ciągu w polskiej agencji prasowej w Berlinie i stając się wreszcie jej dyrektorem.

Zaciągnąwszy się raz w szeregi dziennikarstwa, odtąd pracuje wyłącznie na niwie publicystyki i krytyki literackiej.

Po przewrocie, kiedy pierwsze świty zgody polsko-czeskiej zabłysły po sporze cieszyńskim na — Dreslera Wacława pada wybór Masaryka i Dresler jako ten nieskazitelny przyjaciel Polaków — jako znany już w Polsce tłumacz czeski polskiej literatury pięknej i autor serii broszur informacyjnych o Słowiańszczyźnie (przeszło 1000 stron formatu wielkiej ósemki) i jako pisarz naprawdę polsko - czeski, piszący i po czesku i po polsku, jak wielki jego poprzednik Paprocki, zostaje mianowany w Warszawie pierwszym radcą prasowym poselstwa czechosłowackiego. Na tym stanowisku z wrodzonym mu talentem zjednywania sobie przyjaciół zadzierzga węzły przyjaźni z polskimi literatami i dziennikarzami i odnawia stare probratymstwa i przyjaźnie...

Dresler odjeżdża z Polski pełen sił i energii. Zapowiada jeszcze pod koniec tego roku wyjście z pod prasy dwóch jego dzieł: kapitalnej monograficznej rozprawy o polskiej polityce wschodniej w latach niepodległego bytu (dzieło ma liczyć przeszło 800 stron) oraz rozprawę o kulturze literackiej w Polsce. Obydwie te prace są już skończone. Na warsztacie jego w dalszym ciągu są zagadnienia literackie i cały szereg przekładów. Na r. 1938 Dresler zapowiada 4 przekłady z polskiej literatury pięknej.

Za swoje zasługi w 1927 r. został odznaczony krzyżem Polonia Restituta, a w XXXV-lecie swej pracy związki literackie stolicy zorganizowały na jego cześć uroczystą akademię. Kto wie, czy nie większe zasługi ma skromny Wacław Dresler, człowiek cichy, niezmiernie pracowity i posiający samych tylko przyjaciół, aniżeli niezapomniany Edward Jelinek.

RUCH WYDAWNICZY

Juliusz Kędziora. „Marcyna". Tom II. „Dopust Boży." Warszawa 1937. „Rój."

Pierwszy tom tej powieści napisanej gwarą skawińsko-wadowicką wywołał wrażenie czegoś niezrozumiałego.

Bywały już utwory powieściowe, jakże świetnel pisane gwarą regionalną. Cykl nowel Kazimierza Tetmajera „Na skalnym Podhalu" i powieść „Legenda Tatr." Stylizowali pisarze język chłopski, od Sewera począwszy aż po Orkana i Reymonta, jednak, jakby w cichej umowie z czytelnikami, bez nadużywania słownictwa, poza granicami danego okręgu, jak okiem sięgnąć, nieznanego. Do nowel „Na skalnym Podhalu" autor dołączył słowniczek.

Powieść „Marcyna" i jej drugi tom „Dopust Boży" zostały napisane przez p. Kędziorę, podobno artystę-malarza, bez tego kompromisu, mową „ludową", bezwzględnie autentyczną, surową, a w istocie skarykaturowaną, zepsutą, rzekomo pra-polską. Wiele słów, zwrotów, pozostanie dla językoznawców żmudną do rozwiązania zagadką.

Jest „w tym szaleństwie metoda", tak że styl posiada zwartą jednolitość. Dalej, o ile czytelnik zdoła się z nim oswoić i uchwycić sens rzeczy, może ulec artystycznemu wzruszeniu, gdyż autor wyczuwa urok wsi, ziemi, i tragiczną miłość młodej pary, parobka i dziewczyny.

Inna sprawa, że stosunki wsi nie są współczesne. Cechuje te stosunki, jak to omawiając powieść zauważył A. G. Siedlecki „zastanawiająco niski poziom cywilizacyjny."

Nie jest tak już źle. (A. W.)

*

Karol Taube — „Figliki diablika błot pińskich. Warszawa, 1937.

Opowiadań, nowel, a nawet powieści, osnutych na dziejach wojny polsko-bolszewickiej 1919 — 1921 r., jest zastęp pokaźny, atoli żadna z nich nie porusza tematów, związanych z pierwszym wystąpieniem zbrojnym naszej marynarki wojennej, które właśnie odbyło się na Polesiu, w dorzeczu Prypeci. Utworzona literalnie z niczego przez por. mar. ks. Gedroycia flotylla rzeczna zapisała się chlubnie na kartach polskiej historii wojskowej, wsławiając się szczególnie zdobyciem Horodyszcza (na pamiątkę tej akcji jeden z monitorów ma zawsze nazwę „Horodyszcze"). Boje, toczone przez ową flotyllę, stanowią kanwę krótkich opowiadań żołnierskich; autorem ich jest uczestnik tych bojów, kpt. mar. bar. Taube, znany dotychczas ze swoich utworów poetyckich i nowelistycznych. Opowiadania, choć krótkie, lecz barwne i zajmujące, mają jeszcze jedną, niezastąpioną cechę: widać w nich odrazu, że pisał je autor z własnego życia i że przeżywał je w każdym calu. Liga morska i Kolonialna dobrze zrobiła, wydając tę książkę. (W. H.)

ZMARLI

Ś. P. EDWARD PORĘBOWICZ

Z GŁĘBOKIM żalem świat literacki i naukowy przyjął wiadomość o śmierci prof. Edwarda Porębowicza. Zmarł 24 sierpnia w 75 roku życia we Lwowie, gdzie pracował od r. 1897.

Urodzony 20 lutego 1862 r. w Warszawie, kształcił się początkowo w Tarnowie, potem w Uniw. Jagiellońskim, który ukończył w 1883. Studiował potem filologię w Berlinie, Monachium, a gdy kierunek studiów się określił (jako romanistyka), studiował w Paryżu, Montpellier, Barcelonie i Florencji. Doktorat filozofii uzyskał w Wiedniu w r. 1890. W r. 1897 rozpoczął jako docent wykłady w uniw. lwowskim. Tutaj na katedrze filologii romańskiej pracował aż do wysłużenia emerytury. Pomimo podeszłego wieku, zagrożony przy tym utratą wzroku, pracował do końca życia.

Zasięg jego zainteresowań umysłowych był duży: był badaczem twórczości literackiej, ale i sam był poetą. Nic co sztuki tyczy, nie było mu obce. Na katedrach lwowskich współcześnie w bliskich z nim stosunkach znajdowali się historyk sztuki Antoniewicz, prof. filozofii Twardowski, literatury porównawczej Kasprowicz. Z ostatnim z nich wywiązało się wówczas pewne współzawodnictwo, wszakże pobratymstwo ich było głębsze, łączyli się w kulcie arcydzieł i tradycjami lat Młodej Polski, kiedy narówni byli współpracownikami „Życia" i „Chimery". Oderwany od życia społecznego i politycznego, nie miał tej żywotności marchołtowej, co Kasprowicz, w finezji jednak artystycznej nieraz Kasprowicza przewyższał.

Prace Porębowicza z literatury polskiej są nieliczne. Do najcenniejszych należy rozprawa o Andrzeju Morsztynie jako przedstawicielu baroku (1893), potem o Tryadach Z. Krasińskiego. Z prac, którym się specjalnie poświęcał, wymienić należy przede wszystkim na użytek dydaktyki, ale oryginalnie opracowane, dzieje literatury włoskiej XV, XVI i XVII wieku (1890 — 93), dzieje literatury francuskiej, włoskiej, hiszpańskiej i portugalskiej XVIII w. (1897). Dalej dzieła: Ruch literacki południowo-zachodniej Europy (1888), mon. o św. Franciszku z Assyżu (1899), monografia Dantego (II wyd. 1921). Poza tym wiele drobniejszych rozpraw w czasopismach, ostatnio opracowanie specjalnego działu romańskiego w „Wielkiej literaturze", wydanej przez Trzaskę, Everta i Michalskiego w Warszawie. Nie skończył podobno ostatniego dzieła o literaturze łacińskiej.

Wielką zasługą i triumfem artystycznym Porębowicza są jego przekłady poetyckie Dantego, Byrona, Calderona, Leopardiego, pieśni prowansalskich. Znakomity jego przekład Boskiej Komedii Dantego ukazywał się w latach 1899—1904, wydanie trzecie — w r. 1921. Że wcielił do literatury polskiej Dantego i rozumieć go nauczył, to pozostanie największą jego zasługą. A drugą jest to, że zbliżył do nas średniowiecze z całym patosem jego piękna duchowego.

Ograniczając się narazie krótką notatką i nie kusząc się o ocenę dorobku pozostawionego nam przez poetę i uczonego, zaznaczyć chcemy tylko swój współudział w żalu powszechnym, który towarzyszy Zmarłemu.

LISTY DO REDAKCJI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

CZYTAJĄC w „Myśli Narodowej” z dnia 22 sierpnia r. b. artykuł „W Hołdzie Sienkiewiczowi”, pragnę dorzucić garść wspomnień również z Wielkiej Wojny.

Zaskoczyła mnie ona za granicami Galicji w Wiedniu. Moje zapatrywania na rolę polskiego narodu wypowiadałem z naciskiem, a chcąc, by te były utrwalone, napisałem na karteczce 15 sierpnia 1914 r., którą dotąd noszę przy sobie.

Dosłownie: „Wojna europejska, światowa!...

Walczą państwa, narody o egzystencję, o hegemonię nad światem!... Walczą Prusy, dziś zwane Niemcami. Najstraszniejszy — bo mądry, bezwzględny, przebiegły, zdradziecki, bez jakiejkolwiek etyki ludzkiej... wróg Polski!...

Straszny — dziki azjata — Moskal, wróg ciemiężyciel Polski, niszczyciel naszej kultury — w przeciwnym obozie.

W którym obozie może być nasze zbawienie?

Ani w jednym, ani w drugim!...

Prąd, siła, niewola niosły nas na pola walki, nam wrogie... Krew, mienie, siły Polski popłyną szerokim strumieniem!... Mogą organizm narodowy podciąć, zniszczyć tak, że po zwycięstwie jednej z walczących stron już nie będzie potrzeba wiele wysiłków tejże, by nas — dobić!...

Co nam czynić? Czy otwierać nam samym żyły jeszcze nie otwarte w organiźmie narodowym? Wylewać krew, niszczyć siły moralne i materialne, by prędzej agonia nastąpiła i — śmierć?

Prusak nastawił na nas hakatę, hajdamactwo, sjonizm, rozkład!

Moskal — dzicz mongolską, zgniliznę „litwaków.”

Austria — sama w niebezpieczeństwie — w objęciach Prus!

Czy mamy pójść za syreniemi głosami?

Czy rozsądek nas opuści?

Czy mamy wołać z Maćkiem „a głupi, a głupi, a głupi”!

Te słowa dyktował mi mój rozum, moja troska wielka o przyszłość Macierzy!...

Dnia 24 sierpnia 1914 r. na odwrotnej stronie kartki pisałem:

„Akcja wojenna!

Koncentracja stronnictw polskich...

Naczelny Komitet narodowy pod przewodem Lea — jest mniejszym złem, jak rządy komisji tymczasowej (niepodległościowej)... jednak nie przestaje być złem — bardzo wielkim niebezpieczeństwem dla sprawy Polski.

P. Leo i Komitet nic nie uczynili dla bezpieczeństwa, ulgi, przyszłości narodu polskiego u sojusznika Austrii — Prus!

Komitet warszawski wzywa do spokoju!

Ot, już i straszny przykład: po ustąpieniu Moskali z Kalisza Prusy, Prusacy — palą, mordują, nakładają kontrybucję.

Moskal w Kielcach egzekwuje drużyny, ludność. nakłada kontrybucję etc.

Rozum polityczny i — uczciwość dla Ojczyzny nakazuje nam nie krwawić Jej i nie niszczyć jeszcze przez nas samych!

Ślepa nienawiść i zawiść jak i wstrętna prywata mogły inaczej doradzić!...”

Pisane pod pierwszym wstrząsem w trosce, jakże podobne do nastroju Sienkiewicza.

Mój brat młodszy Tadeusz, prezes Rady Narodowej otrzymał obszerny list po rozwiązaniu wschodnich Legionów pochwalający to zarządzenie. W nim wypowiada te same zapatrywania podane w art. w „Myśli Narodowej”, „W hołdzie Sienkiewiczowi.”

List H. Sienkiewicza do brata Tadeusza wówczas już internowanego a bardzo wówczas zagrożonego, zabrałem i przechowywałem w ukryciu.

Po wojnie oddałem, obecnie znajduje się w przechowaniu.

Odpis pokazałem p. posłowi w Wiedniu p. Sz... pożyczyłem, ale mi nie oddał.

Nadmieniam, że robiłem usilne starania o uwolnienie Tadeusza z wygnania, — tylko z usilną gorącą pomocą, Dawida Abrahamowicza... cześć mu za to!...

Bardzo smutna to karta—N. K. N.! Nie władze austriackie, nie „oberkomando” etc., ale swoi nie dopuszczali do uwolnienia! Siedmioro nieletnich dzieci, zniszczony wielki, świetnie zagospodarowany majątek (Pieniaczyzna), gorący, ofiarny, „bez skazy”, chory, rwący się do czynu — na uwięzi przez s w o i c h!...”

Smutna to historia, dokumentami poparta, kiedyś wypłynie na — naukę, co nie wolno, co nie uczciwe, wprost brudne.

Lwów, 28.VIII 1937 Z wysokiem poważaniem

ADOLF CIEŃSKI

NOWE KSIĄŻKI

M a t u s z e w s k i Kazimierz. Z przeszłości Jarocina. Poznań 1937. S. 54.

K o s i e r a d z k i Wł. dr. Doc. Plan centralnego Okręgu Przemysłowego. Memoriał z r. 1936. Wyd. II. Warsz. 1937. Bibl. Polska. Str. 29.

S z o b e r St. prof. Słownik ortoepiczny. Jak mówić i pisać po polsku. Zesz. 5 (do lit. Sup.) M. Arct. Warszawa.

C h r z a n o w s k i Ignacy. Tajemnica ostatnich dni Joachima Lelewela w świetle źródeł. Warsz. 1937. Odbitka z „Kultury i nauki“. Str. 24.

S t u d n i c k i Wład. Mianowany, niepowołany administrator Stefan Starzyński. Warsz. 1937. Str. 48.

Z wydawnictw Instytutu Śląskiego ukazały się następujące nowości z datą Katowice 1937:

B e r e z o w s k i Stan. Turystyczno-krajoznawczy przewodnik po woj. Śląskim. Z 144 ilustr. 29 mapami i planami miast oraz z mapą wojew. Str. 447.

L e s z e ż y c k i Stan. Znaczenie gospodarcze ruchu uzdrowiskowo-turystycznego na Śląsku. Str. 81.

B ą k Stan. O zbieraniu materiałów gwarowych na Śląsku. Z przedmową prof. Kaz. Nitscha.

K o m a r Stan. Górnośląska konwencja genewska pomiędzy Polską i Niemcami 1922—1937. Str. 24.

NA MARGINESIE

Okres ogórkowy zaznaczył się w świecie literackim odkryciem wielkiej doniosłości, mianowicie odkryciem „autentyzmu”, jako rodzaju właściwego specjalnie naszej twórczości rodzimej. Odkrycie to, dokonane początkowo na terenie powieści, zatacza coraz szersze kręgi, przynosząc codzień nowe, wprost sensacyjne wyniki.

Stwierdzono już, że ten sam prąd przeniknął już do poezji, dramatu, malarstwa i indziej. Zaczyna pretendować do tytułu pierwszeństwa historiografia, operująca autentycznymi dokumentami, fizyka doświadczalna, psychologia i in.

Ale nie zasypia też sprawy publicystyka. Pokazuje się, że cała twórczość polska oparta jest na podstawach autentyzmu. Udowodniły to procesy sądowe, badające wyniki specjalnie t. zw. „radosnej twórczości” przed tym w dziedzinie administracji (procesy starostów), teraz w skarbowości, sądownictwie (Parylewiczowa) i t. d.

Niebawem cała rzeczywista rzeczywistość polska stanie w blasku tego znakomitego odkrycia, widna na cały świat.

*

— Akademik literatury Irzykowski dostrzegł żydów w literaturze polskiej. Czytałeś? Żydzi bardzo z tego są niezadowoleni.

— Zawsze tak było. Autochtoni amerykańscy, gdy się dowiedzieli o Kolumbie, powiedzieli: „O psiakrew — odkryli nas!”

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.